Stron 12

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 25 zł

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI Łódź, 27 lutego 1949 r. Nr 9 (188)

W NUMERZE
między innymi:

Wacław Kubacki

MICKIEWICZ — PUBLICYSTA

I

Pierwszym etapem Mickiewiczowskiej publicystyki było czasopismo emigracyjne „Pielgrzym Polski". Już tutaj znajdujemy jakby w zarodku pewne myśli, które poeta będzie później rozwijał w wykładach w Collège de France i w „Trybunie Ludów". Będzie to krytyka burżuazyjnej Francji, trafne wiązanie jej polityki wewnętrznej i zagranicznej z formą ustroju, zabezpieczającego interesy przemysłowców i bankierów. Będzie to dalej ujawnienie międzynarodowego porozumienia i współdziałania wszystkich sił wstecznych w Europie. Przeciwstawiał im Mickiewicz sojusz wszystkich sił rewolucyjnych. Przewidywał, że „Sprawa Polski wywołana będzie na nowo przed sąd świata nie inaczej, tylko głosem jakiejś powszechnej, politycznej burzy". W piśmie „Do przyjaciół galicyjskich" mamy obok programu politycznego także postulaty społeczne.

Jeszcze wyraźniej snuje się piękna nić Mickiewiczowskiego demokratyzmu w „Prelekcjach paryskich". Równość stanów i braterstwo ludów wraca raz po raz na usta poety w różnych wariacjach od moralnych po polityczne.

„Można powiedzieć, że Syberią zbliżyła różne klasy narodu, poczęła zacierać przedziały stanów. Pan możny, szlachcic i włościanin muszą tam pracować zarówno, polują razem, żyją pod jednym dachem. Pycha, ten występek szlachty polskiej, to uczucie wyższości swojej nad każdego innego człowieka, odbiera szczególniej karę w wygnańcach". I dalej: „Nieszczęścia wygnania zbliżyły także naród polski z innymi szczepami Słowian. Nie byłoby inaczej sposobu zbliżyć Polaków do Rosjan. Naród niepodległy, wolny, dumny ze swoich swobód, cóż mógł mieć wspólnego z narodem niewolniczym, uciśnionym, nawykłym do jarzma od wieków? Jednych i drugich Opatrzność przywiodła tutaj do szukania nad panem ziemskim wyższego Pana, do spotkania się w tym samym uczuciu potrzeby pomocy boskiej. Odtąd więzień rosyjski i więzień polski tchną już jednym przynajmniej uczuciem wspólnym. Można powiedzieć, że na łonie nieszczęść i cierpień poczyna się dopiero pierwszy zawiązek rozleglejszej jedności słowiańskiej. Czesi, na samej już tylko religii mogący opierać swoją narodowość, Rosjanie, pozbawieni wszelkiej nadziei zrzucenia jarzma, Polacy dotknięci uciskiem i wygnaniem — muszą wszyscy jednocześnie uciekać się do Boga". (Rok II. Lekcja 24).

Pamięta Mickiewicz, że szkołą demokracji były Legiony i że kodeks Napoleona w Księstwie Warszawskim i Królestwie Kongresowym zrównał klasy. Fakt, że Polacy do walki o wolność wciągnęli kobiety jako towarzyszki broni, pozwala poecie przewidzieć, że „wielkie zadanie wyzwolenia kobiety w Polsce jest daleko bardziej zbliżone do rozstrzygnięcia, niżeli w którymkolwiek innym kraju". (Rok II. Lekcja 30). Nieoryginalność słowiańskiej mitologii, nieznajomość rodowodu i hierarchii bóstw, świadczy według poety o demokratyźmie Słowian, o braku „pierwiastku arystokratycznego w społeczności" (Rok III. Lekcja 14). Mówiąc o teatrze i technicznym nieprzygotowaniu gmachów teatralnych do wystawiania nowych dzieł, zrobił Mickiewicz charakterystyczną uwagę społeczno-kulturalną: „We Francji jeden tylko Cyrk Olimpijski mógłby przypaść dla sztuki mającej rzeczywiste znaczenie; w nim tylko dałyby się jakkolwiek wyprowadzić na scenę dzieła bohaterskie i masy ludu tak dzisiaj przeważne w życiu społecznym"... (Rok III. Lekcja 16).

Poeta wypatrywał świtania idei społecznych w niektórych systemach filozoficznych swego wieku, np. u Schleiermachera i Schellinga (Rok III. Lekcja 18). Dwa wykłady poświęcił rozbiorowi różnych prawnych pojęć własności. „Głównym pojęciem Słowian pod tym względem jest to, że nie wolno człowiekowi, grzech jest, mieć ziemię na własność... Grunta gminne, gromadzkie uprawiają się wspólną pracą całej osady i na użytek jej ogólny". Pan, „który nie miał nic wspólnego z włościanami, owoc krwawej ich pracy trwonił na fraszki i zbytki". (Rok III. Lekcja 19). Autor „Pana Tadeusza" uczył rodaków, że procesy dziejowe są nieodwracalne; „...Byłoby rzeczą próżną i na nic nieużyteczną, gdyby kto spodziewał się jeszcze, że Polska dawna może powrócić z królewskością, która upadła z własnej winy i ze szlachtą, która się sama zabiła" (Rok III. Lekcja 25).

Uważnie przyglądał się rozkwitowi kapitalizmu: „Nikt bardziej od nas nie unosi się nad cudami, jakie przemysł wyrabia, nad tą jego niezmierną siłą, która musi opanować ziemię; ale idzie tu o coś daleko ważniejszego; idzie o to, kto zgarnie w swoją dłoń te wszystkie ogromne środki przemysłowe, jaki duch obejmie rządy globu? Arsenały nie mają opinii, służą na użytek każdemu zdobywcy" (Rok IV. Lekcja 2). Sarkazmem piętnuje ekonomistów burżuazyjnych: „Nie wiedzą oni jeszcze, co to jest wartość, co kapitał... Za to wiedzą bardzo dobrze, jak to korzystnie posiadać kapitał i nie skąpią rad ubogim, to jest nie mającym kapitału. Rady ich, chociaż inaczej wysłowione, wychodzą na jedno z księżymi. Tak ci, jak tamci, mówią: biedaku, umieraj!" (Rok III. Lekcja 8).

Twórca „Ody do młodości" pozostał wierny ideałom czynnego życia i hasłom społecznym. Krytykuje Kościół za martwotę: „Ale duchowieństwo poglądało zawsze krzywo na wszelki ruch, na wszelki znak życia w ludach: przyczaiło się podczas rewolucji lipcowej, potępiło powstanie Polski". Jeśli więc ten—wywodzi poeta — „kto pragnie zostać twórcą w sztuce, wznowicielem w polityce, musi koniecznie wejść w spółkę z duchem mas cierpiących i tęskniących do przyszłości, jakaż powinna by być boleść tych, co reprezentują Kościół?" (Rok IV. Lekcja 4). Surowo sądzi marzycieli rewolucyjnych, zdających się gnuśnie na łaskę losu: „Rewolucjoniści i pacyfikatorowie razem, Dżengis-Chany, kiedy marzą (tzn. marzące Dżengis-Chany), łagodne Fenelony, kiedy przychodzi wziąć się do rzeczy, gadają, że świat się przewróci bez niczyjego trudu i sami nie myślą przyczynić się do tego w czymkolwiek" (Rok IV. Lekcja 7). Rewolucjonistą jest nie ten, co głosi hasła rewolucyjne, lecz ten co posiada ducha rewolucyjnego: „Można być w łachmanach chłopa słowiańskiego albo w bluzie robotników francuskich i nie należeć do ludu; a można błyszczeć od złota i mieścić się w ludzie". (Rok IV. Lekcja 3).

II

Wyniki 1848 roku uczyniły ostatecznie z Mickiewicza - rewolucjonisty literackiego i moralnego rewolucjonistę politycznego i społecznego. Rewolucjonizm Mickiewicza po Wiośnie Ludów poszerzył się i pogłębił. Poeta uświadomił sobie, że rewolucja, jeśli ma zwyciężyć, musi poruszyć najszersze warstwy narodu; że nie ma wielkich i trwałych zmian politycznych bez gruntownych reform socjalnych. To jedno doświadczenie. A inna smutna nauka, wyciągnięta w 1848 roku z europejskich separatyzmów, była ta, że nie ma wolności dla jednego lub drugiego narodu bez rewolucji powszechnej, bez wolności i równości wszystkich ludów, bez braterstwa wszystkich politycznie i społecznie uciemiężonych i wydziedziczonych.



Adam Mickiewicz

Fotografia Szweycera z 1853 roku

W publicystyce tego okresu zwraca Mickiewicz pilnie uwagę na socjalne i gospodarcze podłoże ruchów politycznych. Karol Albert jak Mazzini dążyli do wyzwolenia i zjednoczenia Włoch, czego wówczas można było dokonać jedynie na drodze rewolucyjnej. Tragedię rewolucji włoskiej wyjaśnia poeta zasadniczą sprzecznością celów i środków. „Karol Albert jest naczelnikim armii, której sztab składa się z wielkich panów i synów znacznych rodów, którzy z sztuki wojennej znają tylko paradę, a za szczyt swej kariery wojskowej uważają jedynie przedstawienie ich u dworu. Armia to bezsilna wobec wroga, ale potężna przeciw rewolucji. W istocie, jak tu przeobrazić w rewolucjonistów tych generałów, tych pułkowników, tych wszystkich — aż do podoficerów — książąt, hrabiów, markizów, słowem wszystkich mniej lub więcej utytułowanych. Dodajcie, że wszyscy oni są równie bezinteresowni i równie uczciwi jak arystokraci lombardzcy, którzy, chociaż gubili sprawę narodową, jednak nie dali żadnej sposobności do oskarżeń o spiski, sprzeniewierzenia, zdrady itp., ludzie jednocześnie pod względem politycznym zgubni, a prawnie nienaganni". Widział to niebezpieczeństwo Mazzini i dlatego „chciał zaciągnąć do armii rewolucjonistów, aby bronić rewolucji" („Mazzini — Mazziniści"). Nie mniej ciekawe szczegóły o społecznym układzie sił postępowych i wstecznych znajdujemy w uwagach o „stanie sił moralnych i materialnych Włoch rewolucyjnych".

Z pasją obnaża Mickiewicz grę polityczną, materialne sprężyny wielu akcji pozornie ideowych. „Karol Albert rezyduje w stolicy, siedzibie owej arystokracji piemonckiej, która porzuciłaby i sprawę włoską i nawet ukochanego króla, gdyby zamieszkane przez nią miasto pozbawiono być stolicą: bez stolicy nie ma dworu: oto sprężyna wszystkich ruchów reakcyjnych polityki zachowawczej Piemontczyków: oni to nazywają ideą!" („Mazzini—Mazziniści"). Przypomina się nam „Salon warszawski" z III części „Dziadów", którego arystokratyczni bywalcy martwią się, że odkąd Nowosilcow opuścił stolicę, nikt nie umie urządzić zabawy. Literat I skarży się otwarcie:

> Ja mówię, że Poezji nie ma bez poloru
> A polor być nie może tam, gdzie nie ma dworu:
> Dwór to sądzi o smaku, piękności i sławie,
> Ach ginie Polska! dworu nie mamy w Warszawie.

W artykule „Rzym a katolicyzm urzędowy" bezlitośnie wytyczył granice wyrozumiałości i pobłażliwości władz kościelnych: „Wybaczono by zapewne Rzymianom zapomnienie obowiązków religijnych; pozwolono by im swobodnie łamać dyscyplinę kościelną; znoszono by, a niekiedy nawet popierano by ich obojętność w rzeczach religii, pozwolono by im dziś z wyżyny Kapitolu głosić a t e i z m, byleby w Kwirynale nie wymówiono wyrazu rzeczpospolita, byleby w papieżu uszanowano jego charakter monarchy. — To wystarczyłoby do uspokojenia kardynałów, w ich charakterze książąt Kościoła, co do losu ich dotacji i ocaliłoby majątki i rodziny wielkich posiadaczy beneficjów kościelnych. To właśnie w języku katolicyzmu urzędowego nazywa się ś w i e t n o ś c i ą K o ś c i o ł a". Niemniej charakterystyczne są uwagi o „Świętopietrzu": „Tym co może zbawić Kościół, a wraz z Kościołem społeczeństwo nie jest **dzieło Świętopietrza,** dzieło zgoła ziemskie i ciasne, niosące tylko pospolitą pomoc, jak gdyby szło o pospolite nieszczęście; dzieło egoistycz-

ne, które dla uposażenia nuncjuszów wydziera ostatni grosz Irlandczykom, umierającym tysiącami z głodu i tej trzeciej części ludności paryskiej, tej francuskiej Irlandii, co żyje z jałmużny dla braku pracy. Co Jezus Chrystus przyjął od niewiasty z Betanii, co jej zyskało odpuszczenie grzechów, to nie wonności, którymi namaściła nogi i włosy Zbawiciela świata, lecz czysta miłość wypełniająca jej duszę; naczynie, które rozbiła, to było jej serce, które się otwarło. Tych pieniędzy, które ofiarujecie namiestnikowi Jezusa Chrystusa, nie przyrównujcie do woni miłości Magdaleny; to worek Judasza, który wypróżniacie u stóp Jego".

Szkic „Orleanizm" piętnuje poświęcenie w roku 1814-15 interesów narodowych Francji interesom burżuazji, kleru i arystokracji francuskiej: „W istocie, egoizm błyskawicznie obliczył, co mu mógł przynieść najazd (antynapoleońskiej Koalicji— przyp. mój). Jednym rzutem oka ujrzał w następstwie klęsk narodowych plądrowanie chłopów przez kozaków i owoc tych grabieży wpadający mu do kieszeni. Ujrzał kontrybucje wojenne, nakładane na miasta i dzielone między generałów nieprzyjacielskich, a następnie trwonione na korzyść jego szkatuły. Ujrzał szereg pożyczek, zaciąganych na zapłacenie tych kontrybucji i poczuł się sam jeden tylko zdolnym ułatwić te pożyczki, aby na nich zarobić. — Ujrzał rój emigrantów, z wielkim krzykiem domagających się zwrotu swoich dóbr, a wobec niemożliwości uskutecznienia tego zwrotu przeczuł miliard! (suma odszkodowania przyznana ze skarbu państwa emigrantom francuskim za dobra skonfiskowane im przez Wielką Rewolucję — przyp. mój). — Na ten widok apetyty egoizmu, nagle nadmiernie podniecone, nie miały już wędzidła. Odrzucając wszelki wstyd, niewolnicy tej namiętności tarzali się u nóg najezdników. — Egoizm znalazł swój dogmat: był nim najazd; otrzymał swoją świątynię: była nią giełda; miał także swoje święta radości: były to dni znaczone żałobą dla ludów, dni bitew przegranych i rozstrzelań".

Dogmat kapitalizmu przemożnie rządzi światem i rozstrzyga o wszystkim w pierwszej i ostatniej instancji: „Filozofowie wolteriańscy, bankierzy żydowscy, potomkowie rycerzy krzyżowych łączą się we wspólnym interesie. Rozdzieleni dotąd jedni od drugich uczuciami religijnymi, rozdwojeni przekonaniami politycznymi znajdują nareszcie dogmat wspólny, dogmat **interesu.** Do przeciwstawienia socjalizmowi nie ma nic oprócz tego dogmatu" („Socjalizm propagowany przez ulicę de Poitiers"). Powtórzy to poeta jeszcze dosadniej w „Miliardzie": „Stronnictwa księży, arystokratów, niedowiarków i ateuszów, od tak dawna rozdzielone, łączą się z sobą wszystkie po raz pierwszy w uwielbieniu boga kapitału".

Pod pewnym względem można uważać artykuły Mickiewicza z „Trybuny Ludów" za publicystyczne pendant do obyczajowo-historycznego malowidła, jakie znamy z powieściowego cyklu Balzaka.

Wacław Kubacki

Marian Niewiarowski

BOHATER NASZYCH CZASÓW

W tych dniach otrzymał Złoty Krzyż Zasługi były robotnik, obecnie inspektor kopalń i wicedyrektor, polski reemigrant z Francji, górnik ZIELIŃSKI. Jako rębacz, górnik ZIELIŃSKI jeszcze w listopadzie ub. roku wykonał ponad 720 proc. normy (co równa się wydobyciu w ciągu jednej dniówki około 44 ton węgla). Oczywiście górnik ZIELIŃSKI i inni nie dlatego zostają dyrektorami, że „nadludzkim" wysiłkiem osiągają rekordowe wyniki swojej pracy, lecz dlatego, że ich rekordowe osiągnięcia są wyrazem ich „patriotyzmu robotniczego", powstają w wyniku współzawodnictwa pracy, w wyniku nowego stosunku robotnika do pracy, stosunku przejawiającego się w dyscyplinie pracy, w punktualności, rzetelności, wynalazczości, ciągłym ulepszaniu metod pracy indywidualnej i zespołowej.

*

Motto:

„Wydajność pracy to w ostatecznym wyniku rzecz najważniejsza, najgłówniejsza dla zwycięstwa nowego ustroju społecznego".

(Wł. Lenin)

Spotkałem go pewnego lipcowego poranka i powiem od razu: byłem wyraźnie rozczarowany. Jadąc do niego, miałem w pamięci wyimaginowany zupełnie, ale to zupełnie inny obraz. Wyobrażałem go sobie jak potężnego, rosłego, o atletycznej budowie, wysokiego mężczyznę, uosobienie siły fizycznej. Bo też — myślałem — nie lada potrzeba krzepy, aby wykonać tyle, ile zrobił ten człowiek. I — nie wiem dlaczego — wyobrażałem go sobie diabelnie zmęczonego, oblanego potem, ledwo dyszącego z wysiłku. Bo — powiedzcie — we wszystkich 75 naszych kopalniach każdy górnik wydobywa przeciętnie — 7—9 ton węgla, czyli około pół wagonu kolejowego. Wiem, że tyle można wykonać, wiem, że tyle można w ciągu całego dnia przeładować, pracując normalnie i w miarę sił ludzkich. Ale żeby jeden człowiek wydobył nie 7 ton, to znaczy pół wagonu, ale 100 ton, to znaczy więcej niż 5 wagonów, i żeby to mógł ktoś drugi w ciągu normalnego dnia roboczego przeładować — do tego, myślałem, trzeba siły nadludzkiej, herkulesowej. I, zresztą, myślałem czy to mu się zawsze tak będzie udawało? W tym miesiącu udało się, ale co będzie w następnym, gdy się zmęczy?

Było wtedy gorąco, słońce prażyło, z szybu zaczęła wyjeżdżać ostatnia grupa górników, a ja, szukając wśród nich herkulesowej postaci, obrzucałem niespokojnym spojrzeniem nasz skromny „Opelek", obliczając, czy zmieścimy się w nim razem z tym wielkim górnikiem?

Grupa szybko przeszła do łaźni, a tego, kogo szukałem, nie było. Nadszedł natomiast zawiadowca kopalni.

— Zieliński już wie o was, redaktorze, jest teraz w kąpieli, zaraz tu przyjdzie!...

— Jak to? Więc on już wyjechał z dołu?

— No tak, skończył o wpół do drugiej i wyjechał z ostatnią grupą...

— Z tą, która niedawno przeszła?

— No tak. Przykro mi, że akurat mnie nie było, moglibyśmy go zatrzymać.

— A ja go nie poznałem! — wymknęło mi się głośno i natychmiast. Gdy spotkałem się ze wzrokiem zawiadowcy, pożałowałem swoich słów. Bo rzeczywiście, jakże mogłem przypuścić, że wśród takiej masy górników poznam natychmiast tego, który zgodnie z ogłoszonym w przeddzień mego przyjazdu skromnym komunikatem „PAP-u", pobił wszystkie rekordy w górnictwie, osiągnąwszy 668,6 proc. normy?...

I choć nie myślałem już o Herkulesie, spokoju nie dawało mi pytanie: jak on to mógł zrobić?

Rozmawiając z zawiadowcą kopalni na temat współzawodnictwa pracy, z żalem stwierdziłem, że nie podziela on mojego entuzjastycznego zainteresowania osobą Zielińskiego i jego wynikiem. Być może był to wyraz tu i ówdzie pokutujących jeszcze szkodliwych tradycji kapitalistycznych. W pewnej chwili, gdy zawiadowca usiłował zmienić temat rozmowy, a ja zrezygnowany już, gotowy byłem żałować swego przyjazdu, rzuciłem ostatnie pytanie:

— No dobrze — powiedziałem — ale pan odpowiada za wszystko, co się dzieje na dole. Proszę mi więc powiedzieć, jak on to robi?

Odpowiedź, którą mi dał inżynier, nie zadowoliła mnie zupełnie. Przyzwyczajony do otrzymywania — szczególnie, jeśli chodzi o inżynierów — konkretnych wyjaśnień w ścisłym, technicznym języku — byłem zdumiony skąpstwem jego informacji. Wszystko co opowiadał, robiło wrażenie, jak gdyby zawiadowca, zaskoczony tą „nieprzyjemną" historią, wiedział, co zrobił Zieliński: ale podobnie jak ja, nie wiedział i nie widział, jak on to zrobił.

Staliśmy w drzwiach stołówki, gdy zbliżyło się do nas dwóch robotników. Obydwaj trochę ponad średniego wzrostu, smukli, ubrani tak, jak zazwyczaj ubierają się robotnicy — Polacy, którzy przyjechali z Francji. Spodnie u dołu szerokie, jakie u nas noszą marynarze. Jeden z nich, o smagłej twarzy i jasnych oczach, nosił żółtą koszulę.

Odtąd zapamiętałem sobie Zielińskiego właśnie tak, jak go widziałem wtedy, w lipcowy poranek, na dziedzińcu kopalni „Makoszowy": w spodniach, jakie noszą u nas marynarze i w żółtej koszulce z krótkimi rękawami.

* * *

Ludzie z centralnej Polski i ci nawet, którzy mieszkają na Śląsku, nie zawsze zdają sobie sprawę z roli, jaką odgrywa w wydobywaniu węgla materiał wybuchowy, czy młoty pneumatyczne. Donaryt, detonit, barbaryt, metanit czy energit — te nazwy są nawet nie wszystkim górnikom znane. Ale już na pewno mało kto z nas wie, że nasze Zagłębie posiada szczególną i wyróżniającą je w sposób zasadniczy spośród innych zagłębi europejskich właściwość: oto 75 proc. naszego wydobycia otrzymujemy stosując wyłącznie materiały wybuchowe. Zagłębie Ruhry natomiast 90 proc. swego wydobycia otrzymuje przez stosowanie młotów (elektrycznych i pneumatycznych). To samo dzieje się w Zagłębiu Akwizgrańskim, gdzie dzięki tym młotom otrzymuje się 95 proc. całego wydobycia.

Jasne jest więc chyba dla każdego, że sprawa materiałów wybuchowych, sprawa techniki strzelania, decydującej o 3/4 naszego wydobycia, musi w naszych warunkach mieć największy wpływ na natężenie i wzrost wydobycia i wydajności. Od jakości bowiem strzału zależy rozluźnienie ściany węglowej. Od rozluźnienia ściany węglowej zależy ilość (i jakość) urobionego węgla.

A więc strzał, siła strzału, metoda, technika strzelania.

Przykro to stwierdzić, ale to fakt znany i nie negują tego oficjalne czynniki techniczne naszego przemysłu węglowego: nie posiadamy ustalonej ściśle i dostosowanej do warunków każdej kopalni, naukowo opracowanej metody strzelania. Górnicy strzelają chaotycznie, bez planu, bez obliczenia siły i skuteczności strzału, zależnie od swego doświadczenia, od takich czy innych przypadkowych wskazówek technika strzelniczego.

Od czego bowiem zależy wynik strzału?

Przede wszystkim od rodzaju otworu strzałowego, po drugie od rozłożenia materiału wybuchowego i po trzecie, od samego działania materiału strzałowego.

Wynik ogólny całej serii strzałów zależy również od odpowiedniego rozmieszczenia otworów strzelniczych na ścianie. Lecz węgiel należy nie tylko wyrąbać, trzeba go także załadować. Jeżeli więc przeciętny robotnik może załadować 7 czy 9 ton, to w jaki sposób daje sobie Zieliński radę ze stu i więcej tonami?...

A więc nie tylko strzał, nie tylko metoda strzelania, ale i sposób dostawy węgla do rynny, która transportuje go do wózków.

Rębacz posuwa się ciągle naprzód, węgiel wyrąbany opada, trzeba ścianę obudować, czyli przy pomocy tzw. stempli (słupków drewnianych) zabezpieczyć wyrobisko przed zawaleniem. Jeżeli według dotychczasowych norm rębacz w ciągu całego dnia pracy zrobił 1—2 kapy, czyli wyrąbał węgiel na odcinku 4—8 metrów, i jednocześnie musiał odcinek ten zabudować, czyli postawiać stemple, jakże więc może sobie dać radę Zieliński, który w ciągu całego dnia wyrębuje nie 1 czy 2 kapy (tzn. nie 4 czy 8 metrów), ale 8 kap, czyli 32 metry? W jaki sposób nadąża on z obudową ściany?

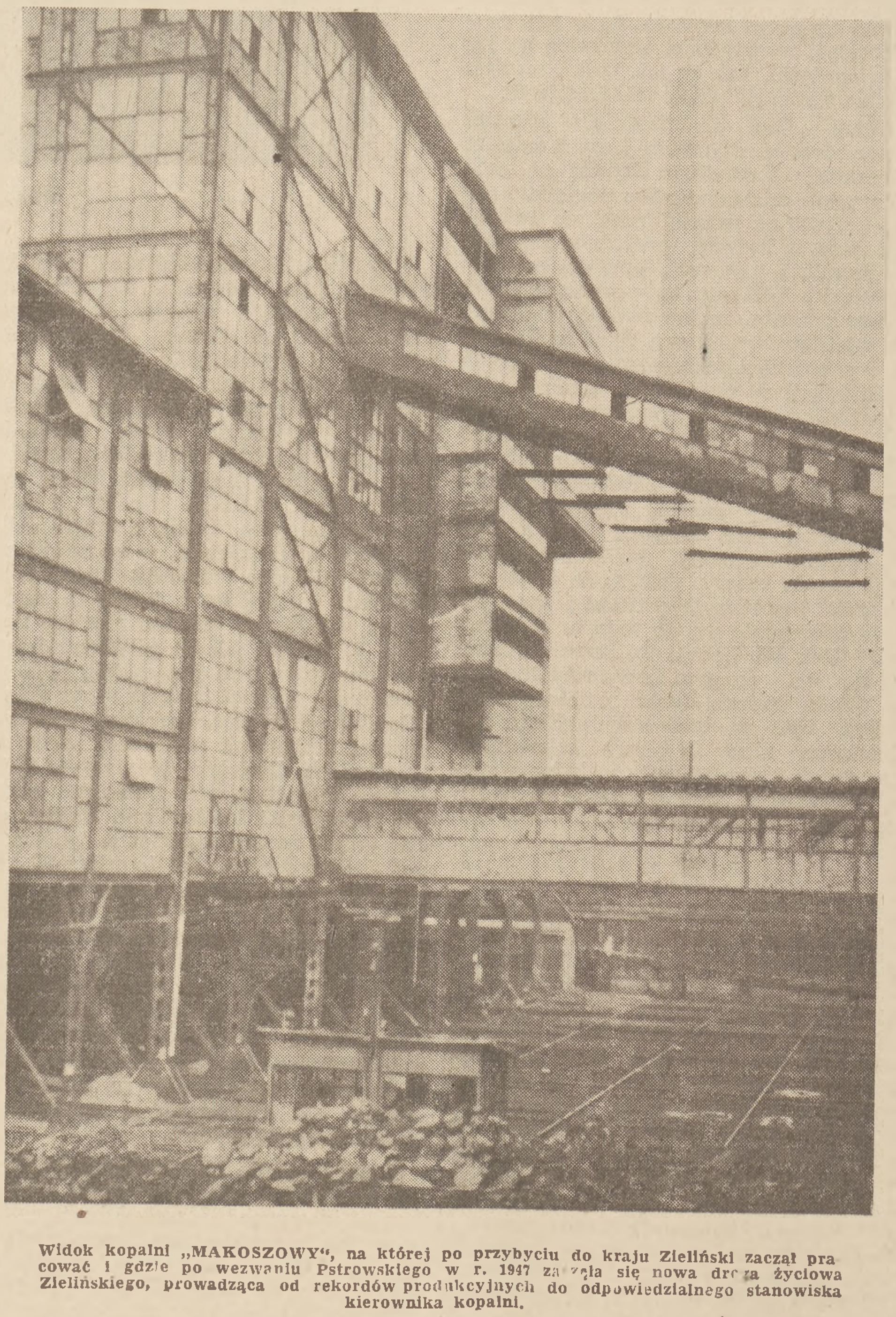
A więc nie tylko strzał, a więc nie tylko sposób ładowania, ale i obudowa, zabezpieczenie wyrobiska przed zawaleniem.

Oto, co należało wyjaśnić.

Pierwszy raz w dziejach naszego kopalnictwa węglowego Czesław Zieliński, 31-letni rębacz kopalni „Makoszowy" — zastosował plan, metodę, własną technikę strzelania. Zieliński nie strzela chaotycznie, nie wierci otworów byle gdzie i byle jakiej głębokości, nie ładuje za dużo (lub za mało) materiału wybuchowego, nie rozmieszcza na ścianie otworów w bezładzie i nieporządku.

Zieliński zna układ węgla na ścianie i stosownie do tego układu „puszcza", czyli wyrębuje ścianę, nadając jej odpowiednie **nachylenie** i wykorzystując wszystkie naturalne właściwości pokładu. Zamiast stosowanych przez wszystkich górników 12 i więcej strzałów, Zieliński wierci tylko sześć, ale te sześć otworów mierzy w taki sposób, że siła wybuchu obliczona jest na najmniejszą odporność ściany i jest zgodna z jej układem. Wierci on z góry na dół, a nie z dołu do góry. Stosownie do tego wymierza on głębokość otworów i zgodnie z nią wkłada odpowiednią ilość materiału wybuchowego. Otwory ułożone są na ścianie w kształcie trójkąta (trzy otwory tworzą pewną całość — klin). Po wybuchu sześciu ładunków, założonych przez Zielińskiego, ściana jest rozluźniona o wiele mocniej, niż normalnie i węgiel opada w dużych kawałach, dając niewiele miału. Zastosowane po raz pierwszy przez Zielińskiego ułożenie rynny zgodnie z nachyleniem ściany sprawia, że ten nowy sposób ładowania daje o wiele lepsze wyniki niż dotychczas. Węgiel opada bowiem wprost do rynny, albo obok niej, na jednakowym z nią poziomie, a nie na spąg, czyli na ziemię. Stąd ładowacz może w ciągu dnia przeładować 100 ton, gdyż właściwie nie ładuje, lecz tylko łopatą reguluje, dosuwa odpływ węgla w rynnie. Dotychczas ładowacz musiał opadający na ziemię węgiel ładować do rynny, ułożonej prawie o pół metra wyżej. Przewalić łopatą 9 ton węgla dziennie, podnosząc go co chwila z ziemi do rynny — to robota, przy której nie trudno się zmęczyć, zwłaszcza, że jednocześnie trzeba obudować ścianę, szczególnie, gdy drzewo leży daleko.

Zieliński ma zawsze drzewo przygotowane przy ścianie lub w niedużej od niej odle-



Widok kopalni „MAKOSZOWY", na której po przybyciu do kraju Zieliński zaczął pracować i gdzie po wezwaniu Pstrowskiego w r. 1947 zaczęła się nowa droga życiowa Zielińskiego, prowadząca od rekordów produkcyjnych do odpowiedzialnego stanowiska kierownika kopalni.

(Foto Bogusz)

*) Z przygotowanego do druku tomu reportaży pt. „Nowi ludzie".

głości. Dotychczas rębacz musiał się odrywać od swej zasadniczej czynności, tj. wiercenia otworów i wyrębywania węgla, i chcąc nie chcąc, musiał razem z ładowaczem brać się do piłowania drzewa i przygotowania stempli pod obudowę. Zieliński i tu zastosował twórczy pomysł, wykazując nowy, myślący stosunek do pracy: zamiast piły kazał sobie zrobić siekierkę o ostrej stali. Zamiast piłować we dwójkę, jak to jeszcze dotychczas powszechnie robią górnicy, ładowacz sam ciosuje drzewo, a w tym samym czasie Zieliński zajmuje się swoją zasadniczą pracą, tj. wierci otwory i wyrębuje... Nie trudno się domyślić, ile czasu zyskał przez to rębacz i ładowacz. Dlatego, gdy Zieliński wierci, jego ładowacz może nadążyć z obudową. Dlatego nie robi, jak każdy inny 1 czy 2 kapy, ale 8 i więcej...

I dlatego ani jeden, ani drugi nie są zmęczeni więcej, niż ci, którzy wydobywają tylko 7 ton. Pracują bowiem normalnie — bez marnotrawstwa czasu i bez zbędnych ruchów, a więc i bez nadmiernego wysiłku fizycznego.

Każdy z górników pracujący przy ścianach miał do dyspozycji materiał wybuchowy, rynny transportujące węgiel i drzewo, które służy do obudowy. **Zasługą Zielińskiego jest to, że zmienił dotychczasowy sposób wykorzystania techniki, zastosował nowy, lepszy sposób, który natychmiast, jednym skokiem zwiększył wielokrotnie wydajność, rewolucjonizując dotychczasowe metody wydobycia i otwierając szerokie perspektywy nowych pomysłów racjonalizatorskich, nowych rekordów wydajności! Zieliński dowiódł, wbrew wszystkim wstecznikom, że technika nie jest rzeczą statyczną**, że w rękach twórczego robotnika staje się ona potężną siłą dynamiczną, dźwignią postępu, rozwijającą i wyprzedzającą niekiedy teorię!

* * *

Później przyjeżdżałem nieraz do Zielińskiego. Ilekroć nasz „Opelek“ zatrzymywał się przed małym domkiem, położonym wśród ogrodów na jednym z przedmieść Zabrza, na spotkanie wybiegał zawsze mały Janek, sześcioletni brzdąc, pociecha i radość całej rodziny. Braliśmy niekiedy Janka na spacer za miasto, a Zieliński, zazwyczaj małomówny, opowiadał o sobie i niedawnej przeszłości. Gdy miał 13 lat odwiedził ich dom prefekt żandarmerii. Ojciec wiedział już o co chodzi.

Bonjour, monsieur Zieliński — mówi jowialnie. Znał starego Zielińskiego. Dobry był to górnik i niezgorszy człowiek. — Cóż — ciągnął dalej — czas przyszedł, rady nie ma. Syn wasz — tu spojrzał na małego Czesława, wystraszonego trochę nieoczekiwaną wizytą — dzisiaj trzynaście lat ukończył. Teraz do kopalni trzeba go posłać, albo do szkoły — przerwał leniwie i zaraz dodał — ostrzegam, nie śmie się pokazywać więcej na ulicy. Do kopalni, albo do szkoły — podkreślił mocniej i wyszedł.

Nazajutrz mały Czesław poszedł pracować do kopalni.

I od tego dnia o szkole mógł **tylko marzyć.**

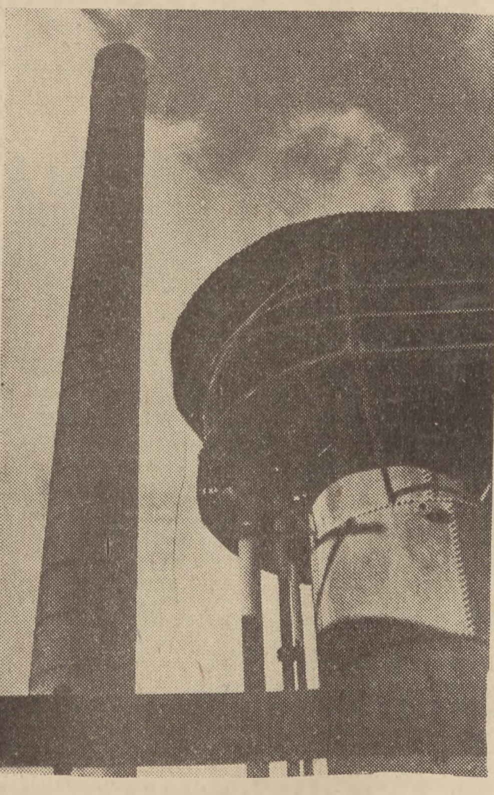
Zarobki ojca stanowiły dostateczną gwarancję, że marzenia te zostaną na zawsze nieosiągalne.

Węgiel francuski jest miałki, kruszy się w ręku. Szyby podziemne są ciemne, zapchane stale jakąś mgłą.

— Bywało — opowiada Zieliński — stoimy przy ścianie, albo leżymy we dwójkę, zaopatrzeni w pneumatyczne młoty. O metr ode mnie stoi albo leży mój towarzysz pracy, też Polak. Nie więcej jak metr, ale ja go nie widzę, ani on mnie. Z węgla wydobywa się stale gaz, cholerny, gryzący gaz. We wszystkich kopalniach francuskich jest ten gaz. Piętnaście lat wdychałem ten gaz, towarzyszu. Piętnaście lat, pomyślcie. Czy wiecie, co to „sylikosis“? Gaz osiada na płucach i tworzy wewnątrz wyrwy. Choroba zawodowa francuskich górników.

Pewnego dnia — ciągnie dalej Zieliński — przychodzi do mnie na dół francuski inżynier kopalniany i powiada:

— Dlaczego pan chce wyjechać, monsieur Zieliński, przecież pan nie jest Polakiem, właściwie jest już pan na wpół Francuzem! Po co pan wyjeżdża?



Kopalnia. Fragment

(foto Bogusz)



CZESŁAW ZIELINSKI

bohater pracy przemysłu węglowego. Osiągnął 721 proc. normy i zarobił w listopadzie 1948 r. 124.000 złotych. Wprowadził nową metodę pracy w górnictwie, opracowaną następnie naukowo przez specjalną ekipę inżynierów-górników i ujeta w specjalnym, po raz pierwszy w Polsce założonym wydawnictwie „BIBLIOTEKI WSPÓŁZAWODNICTWA“ w formie oddzielnego tomu. Zieliński ma 31 lat, pochodzi z biedniackiej rodziny z Poznańskiego, która w poszukiwaniu chleba wyruszyła za sanacji do Francji. Od 15 roku życia jest członkiem Komunistycznego Związku Młodzieży Francji, od 1946 r. członkiem pierwszej komórki PPR we Francji, obecnie aktywnym członkiem PZPR. W uznaniu zasług położonych w dziedzinie rozwoju ruchu współzawodnictwa pracy został mianowany wicedyrektorem największej w Polsce kopalni „WIECZOREK“ i niedawno odznaczony ZŁOTYM KRZYŻEM ZASŁUGI.

(Foto Bogusz)

Powiedziałem mu, że płuca zostawiam we Francji, ale serce mam z Polski.

— Podwyższymy opłatę za wózek... wprowadzimy więcej wentylatorów... — kusił inżynier.

Pomyślałem o pracy i walce mojego ojca i o tych, którzy niedawny strajk — ten i wiele innych — zdusili przy pomocy policji. Pomyślałem o kraju, z którego kiedyś ojciec wyjechał za chlebem, a który teraz wzywa do siebie, do pracy i odbudowy.

Gdy powiedziałem, że chcę zmienić „klimat“, Francuz był bardzo zdumiony...

Pytałem Zielińskiego, dlaczego tych rekordów wydajności nie próbował we Francji, dlaczego nie wyrębywał tam tyle węgla?...

Pamiętam jeszcze teraz jego pełen zdumienia głos:

— Dla kogo miałem to robić, towarzyszu? Dla kapitalistów? Dla akcjonariuszy? **Dla kogo?**

Z przyjazdem do kraju zaczyna się w życiu Zielińskiego nowy okres. Gdy pierwszy raz zjechał na dół, był oszołomiony. Co za węgiel, co za bogactwo! We Francji inżynier, idąc chodnikiem i widząc leżący na ziemi kawałek węgla, podnosił go i niemal z nabożeństwem wrzucał do wózka. — „C'est l'or“ — to złoto — mówił. A tu — za jednym ładunkiem materiału wybuchowego, za jednym strzałem zsypują się potworne zwały twardego, kamiennego węgla. I to wszystko jest nasze własne, należy do nas, a nie do francuskich czy niemieckich akcjonariuszy.

Teraz weźmiemy się do pracy.

Teraz pokażemy, jak umieją pracować górnicy, gdy pracują dla siebie i dla kraju...

I pokazał.

Gdy w grudniu 1947 tow. Zieliński wykonał 315 proc. normy, zawołał go do siebie sekretarz miejskiego komitetu partii tow. Pawiakowa.

— Musicie podzielić się swoim doświadczeniem z innymi górnikami z waszej kopalni — powiedziała — musicie im pokazać, w jaki sposób dochodzicie do wykonania waszej normy...

W parę dni później tow. Zieliński wzywał na współzawodnictwo indywidualnie swoich współtowarzyszy pracy. Zgodzili się na to chętnie, ale postawili warunek.

— Dobrze — powiedzeli — przyjmujemy współzawodnictwo. Zobaczymy, kto kogo pobije. Ale ty masz lepszą ścianę, u ciebie węgiel idzie szybciej i lepiej. Zmieńmy się ścianami. Spróbuj zrobić tyle na naszej ścianie, my na niej wykonujemy tylko 180 procent normy. Więcej w żaden sposób nie możemy zrobić.

— No, jak Zieliński, zgoda?

Zieliński obejrzał ścianę, stropy, sprawdził upad, obudowę i powiedział.

— Zgoda, ale muszę mieć jeden miesiąc na przeprowadzenie robót przygotowawczych. Wy tu macie zły upad i źle prowadzicie urobek. Po jednym miesiącu — zobaczymy.

Po jednym miesiącu, w lutym 1948 tow. Zieliński wykonał na tej ścianie 443 proc. normy.

* * *

Było to pół roku temu...

Godzina jest już siódma. O wpół do ósmej wieczorem umówiliśmy się na rozmowę z naczelnym dyrektorem technicznym Centralnego Zarządu Przemysłu Węglowego, inż. Krupińskim, znanym szeroko w kraju i za granicą specem od zagadnień węglowych.

Zieliński jest nieco podniecony i patrzy co chwila na zegarek. Mimo wszystko, nieczęsto odbywają się takie konferencje nawet u nas. Naczelny dyrektor techniczny, sława naukowa i wielki autorytet w tej dziedzinie — a obok prosty rębacz z kop. „Makoszowy“, trzydziestoletni Zieliński, który kiedyś marzył o szkole...

Wchodzi dyr. Krupiński.

— Wiem już, wiem — mówi witając się dyr. Krupiński — to wyście, kolego Zieliński, zrobili 658 proc. normy?

Za chwilę siedzimy przy okrągłym stole, na którym podpisano niejedną ważną dla całego górnictwa decyzję.

Zaczyna się rozmowa. Dyr. Krupiński jest też ciekawy, w jaki sposób siedzący oto przed nami Zieliński wywraca do góry nogami pojęcie o wydajności pracy.

W ciągu trzech lat wspólnych wysiłków zacierają się coraz więcej różnice „kastowe“ między inżynierami a robotnikami, szczególnie zaś w górnictwie różnic tych było zawsze najmniej. Po paru minutach rozmowy upstrzonej terminami, o których czytelnik pism literackich nie ma pojęcia — papy, stemple, chodniki, wdzierki, rynny, wręby — wzrasta wzajemny szacunek rozmówców. Zieliński jest zaskoczony i zdumiony głęboką wiedzą o jego pracy, którą w pytaniach zdradza dyr. Krupiński, pomysły zaś i ulepszenia w pracy, o których opowiada Zieliński i które zastosował na swojej ścianie, wywołują niemniejsze wyrazy uznania ze strony dyr. Krupińskiego. Srebrnym, eleganckim ołówkiem inżynier rysuje na skrawku papieru profil ściany węgla. Zieliński cierpliwie odpowiada na każde pytanie, wyjaśnia, na czym polega nowość metody, którą stosuje przy „strzelaniu“ oraz opowiada o swoim pomyśle zastosowania rynny. Po każdej odpowiedzi dyr. Krupiński kreśli swym ołówkiem odpowiednie linie...

— Dobrze — mówi w pewnej chwili dyr. Krupiński, kiedy Zieliński skończył opowiadać — a jak z drzewem? Ile traci kolega czasu na piłowanie drzewa?

— My nie piłujemy, tylko ociosujemy siekierą — odpowiada Zieliński. A kiedy ładowacz ociosuje, ja wiercę...

— Ach, tak — mówi dyr. Krupiński — no cóż, panie redaktorze, słyszał pan, co opowiada Zieliński? Od siebie mogę tylko dodać, że na tych pokładach, w które obfituje kop. „Makoszowy“ pomysły zastosowane przez Zielińskiego są wykonalne i muszą rzeczywiście wpłynąć na ogromne podniesienie wydajności pracy...

— Można jeszcze w inny sposób wydobywać węgiel — przerywa Zieliński — to też mój pomysł i gdyby go zastosować, można byłoby osiągnąć jeszcze większą wydajność...

— Jak mianowicie?

Zieliński zaczyna wyjaśniać i rysować srebrnym ołówkiem dyr. Krupińskiego, potem pokazując gotowe dzieło, chce zwrócić ołówek... Dyr. Krupiński ogląda rysunek i nagle mówi do Zielińskiego:

Proszę, zatrzymajcie kolego ten ołówek na pamiątkę, na pamiątkę naszej rozmowy... I zwracając się do mnie: — Wie pan, panie redaktorze, co on narysował? Oglądam rysunek, jakieś schodki na ścianie węglowej...

— To metoda Stachanowa, wyrębywanie schodkami — wyjaśnia dyr. Krupiński, wstaje i ściska z uznaniem dłoń Zielińskiego.

W tym czasie na kopalni „Makoszowy“ rozwinął się wspaniały ruch współzawodnictwa. Po wyjeździe Zielińskiego na urlop do Czechosłowacji drugi górnik, Eryk Cyroń, po zastosowaniu nowej metody osiągnął nienotowany na żadnej kopalni wynik 702 proc. normy. Na tej samej kopalni inny górnik, Władysław Kisiel, wykonał również tą samą metodą 701 proc. normy. Alojzy Mason ponad 500 proc. itd. Metoda Zielińskiego okazała się słuszna, zwiększyła wielokrotnie wydajność, podwyższyła ogólne wydobycie węgla w kopalni, podwyższyła zarobki górników (Zieliński w ostatnim miesiącu przed wyjazdem zarobił powyżej 90.000 złotych, a Eryk Cyroń ponad 120.000!).

Pewnego dnia obiegła całą Polskę wieść, że Zieliński pobił wszystkie rekordy, osiągając 721 proc. normy. Pojechałem wtedy do Zielińskiego, aby zobaczyć go **„przy pracy“.**

Spocony, zziajany, z twarzą umazaną pyłem węglowym osiągnąłem wreszcie najwyższy chodnik, ale już zbliżał się koniec zmiany. I wtedy zobaczyłem Zielińskiego. Po całym dniu pracy, po wykonaniu 10 kap, a więc po prawie 100 tonach węgla własnoręcznie wyrąbanego, czyli po przeszło 800 proc. dziennej normy — stał z młotem górniczym i lampą, na wpół obnażony, bez smużki potu, bez cienia zmęczenia. Prosty i skromny towarzysz Czesław.

Marian Niewiarowski



Zieliński na dole, przy pracy na swojej ścianie. W ręku trzyma młot pneumatyczny, którym wierci otwory strzelnicze w węglu.

(Foto Bogusz)

Tłum. E. M.

31 Rocznica Armii Radzieckiej

Listy żołnierzy radzieckich do pisarzy *)

LIST DO A. TOŁSTOJA

6 listopada 1941 r.

List ten piszemy do Was, towarzyszu Tołstoj, w przeddzień rocznicy rewolucji październikowej, obchodzonej w tym roku przez nasz naród w zażartej walce z faszyzmem. Wynik jej zadecyduje na wieki o przyszłych losach ludzkości...

Wiemy dobrze, towarzyszu Tołstoj, że podobnie jak Wasi koledzy — nasi pisarze — pracujecie dziś intensywnie, pięknie, dobrze. Jesteśmy pewni, że również Was przepełnia pragnienie wykonania jeszcze większej pracy dla naszego państwa. Jako artystę, wyraziciela myśli ludu.

Oto dlaczego oczekujemy dziś otrzymania od radzieckiej literatury pięknej utworów o wyjątkowej sile.

Niedawno temu musiałem leżeć w szpitalu... Pewnego wieczoru zorganizowaliśmy w naszej izbie zbiorowe czytanie niektórych Waszych utworów. Czytaliśmy: „Piotra I“, niektóre opowiadania, zwłaszcza „Żmiję“. Trzeba było widzieć, jaki wielki wpływ wywierało Wasze słowo.

Major Bonkuzow, który dokonał stukilometrowego wypadu na tyły przeciwnika, był podczas naszego czytania bardzo wzburzony. Chodził po izbie szybkimi krokami, dużo paląc.

— Towarzysze! — zwrócił się do nas Bonkuzow, gdyśmy skończyli czytać — warto by napisać do naszych literatów.

Gdy w kilka dni potem przeczytałem brulionowy szkic listu do Was, cała izba zaaprobowała moją inicjatywę. „Pisz Stiopa, pisz koniecznie“ — powiedział do mnie, cicho, niemal szeptem, politruk Fiedorow, przywoławszy mnie do siebie i posadziwszy na brzegu swego łóżka. Towarzysz ten w naszych oczach cieszył się szczególnym szacunkiem. Ciężka rana, którą Fiedorow otrzymał w walce, przysporzyła mu wiele bólu, lecz nikt z nas nie usłyszał z jego ust ani jednego jęku...

Obecnie jesteśmy znów w swoich oddziałach...

List ten, drogi towarzyszu Tołstoj, przyjmijcie od nas jako pragnienie wyrażenia Wam naszych myśli, uczuć, dążeń.

Do widzenia. Życzymy Wam twórczych osiągnięć. Bądźcie zdrowi.

Pracujcie owocnie dla ojczyzny.

Z polecenia kolektywu

sierżant Waszilin

LIST DO MICHAŁA SZOŁOCHOWA

Życzymy Wam zdrowia, droga redakcjo!

Zasyłamy Wam nasze płynące z duszy, gorące frontowe pozdrowienie żołnierza Armii Czerwonej.

Dzisiaj przeczytaliśmy „Oni walczyli za ojczyznę“, tom drugi, i zasyłamy Wam odpowiedź na tę książkę. Przed dwoma miesiącami przeczytaliśmy pierwszy jej tom. Staliśmy wtedy pod miastem Rzeczyca (Białoruś) i prowadziliśmy zażarte boje o miejscowość Romanowka. Niemcy na tym odcinku mieli liczebną przewagę w ludziach i technice, przechodzili dniem i nocą do częstych kontrataków, by odzyskać utracone poprzednio pozycje. Sytuacja stała się skomplikowana, nasza piechota prosiła o ogień artyleryjski. My artylerzyści, musieliśmy strzelać dniem i nocą i niemieckie kontrataki zostały odparte jeden za drugim. W wolnych chwilach czytaliśmy książkę „Oni walczyli za ojczyznę“, przyniesioną przed chwilą przez listonosza na bojową pozycję. Śmieliśmy się do łez z Łopachina, wspominając własne życie oraz przebytą do tego czasu bojową drogę. W ten sposób doczytaliśmy tę książkę do połowy, do miejsca, gdzie autor opowiada o tym, jak to niemieckie czołgi atakują wzniesienie bronione przez batalion, w którym znajdowali się tow. tow. Łopachin i Zwiagincew. W tym samym czasie nasza pozycja ogniowa otrzymała z punktu obserwacyjnego rozkaz rozproszenia czołgów faszystowskich. Piechota poszła do ataku. Działa nasze powtarzały krzycząc słowa Łopachina i Zwiagincewa: „niech przyjdą, dostaną od nas wcierę, gady faszystowskie!“ Zaczęliśmy ostrzeliwać luźnym ogniem faszystowskie czołgi i piechotę, starające się przedrzeć i podejść tuż tuż pod nasze pozycje. Walka stawała się coraz bardziej zażartą. Łączność została przerwana odłamkami granatów. Aby uchronić ludzi, formacja nasza otrzymała rozkaz opuszczenia punktów obserwacyjnych. Kilku śmiałków nie opuściło jednak swej placówki. Jednym z nich był starszy sierżant, radysta, Iwan Matwiejewicz Miedwiediew, bohater Związku Radzieckiego. Faszystowscy strzelcy krzyczeli: „Rus, poddaj się, jesteś otoczony!“ lecz Miedwiediew rzucił im w odpowiedzi kilka granatów przeciwczołgowych i położył trupem sześciu niemieckich strzelców. Korzystając z przerwy Miedwiediew wzywa ogień naszych baterii na swoją pozycję. W tej samej chwili wskakuje w okop na Miedwiediewa niemiecki strzelec, lecz nasz bohater nie traci głowy, chwyta za kindżał wiszący u boku Niemca i zadaje mu śmiertelne ciosy. Drugi niemiecki żołnierz strzela do Miedwiediewa. Miedwiediew upada, lecz nie jest zabity, a jedynie ranny w rękę. Bateria ogniowa, której Miedwiediew wskazał cel, dała salwę granatów. Pole bitwy zaległy setki niemieckich trupów, płonące „Tygrysy“ i „Ferdynandy“. Faszyści ustąpili. Wieczorem skończyliśmy czytać w naszej ziemiance książkę M. Szołochowa i każdy z nas zachwycał się talentem autora. I oto teraz czytamy drugi tom i znowu zachwycamy się tym utworem, w którym tak wyraźnie przedstawione zostało nasze żołnierskie życie, nasza żołnierska drużba, nasza miłość Ojczyzny.

My, żołnierze i oficerowie, czerwoni artylerzyści, dziękujemy Wam, Michale Szołochowie, za wielkie zasługi na polu artystycznego słowa i życzymy Wam, byście żyli w zdrowiu, życzymy gorącej i owocnej pracy dla dobra naszej ojczyzny.

Wszyscy żołnierze i oficerowie naszego kolektywu proszą Wydawnictwo Wojskowe o wysłanie „Cichego Donu“ (wszystkie 4 tomy) za gotówkę względnie jako podarunek dla żołnierzy frontowych.

Przyjmijcie od nas najlepsze życzenia.

Żujkow Paweł Matwiejewicz



„Gabinet roboczy“ I. Erenburga na froncie 1943 r.

LIST DO TICHONOWA

31 maja 1943 r.

Witajcie tow. Tichonow!

Wam i całemu zespołowi pisarzy leningradzkich zasyłam płomienne pozdrowienie partyzanckie.

Nie gniewajcie się na mnie za moje pośpiesznie pisane słowa człowieka rosyjskiego, partyzanta, znajdującego się daleko z tyłu frontu faszystowskiego i kopiącego grób dla niemieckiej grabieżczej armii. Jesteśmy z Wami — mieszkańcami Leningradu i szczycimy się Waszą wytrwałością. Sława Wam, bohaterzy miasta Lenina!

Towarzyszu Tichonow, możecie szczycić się swoimi artykułami o Leningradzie. Czyta je cała okupowana Ukraina, Białoruś, Polska i Czechosłowacja, przesyłamy je nawet do Niemiec.

Tow. Tichonow, niejednokrotnie czytamy Wasze artykuły o Leningradzie i szczycimy się tym, jak bije się rosyjski lud za swoje miasto. Lecz gniewamy się na pisarzy za to, że piszą oni mało o partyzantach. Gorące podziękowania Wołodimirowi Sosiurze, który przysłał nam napisany przez siebie prolog do poematu „Kołpak“ — o bohaterze ukraińskim, dowódcy oddziału partyzanckiego, o bohaterze Związku Radzieckiego. Mamy nadzieję, że również i Wy będziecie umieli opisać bohaterską walkę rosyjskich partyzantów.

Do widzenia, czekamy na nowe Wasze książki i opowiadania. Będziemy je czytać dniem, i nocą u ogniska.

Z partyzanckim pozdrowieniem

Gieorgij Biessonow

Napisane po przeczytaniu artykułu „240 lat Leningradu“ w gazecie „Prawda“ z 27 maja 1943 r.

LIST DO KONSTANTEGO SIMONOWA

6 stycznia 1943 r.

Drogi Konstantynie Simonow!

Dziś w naszym schronie jak w kancelarii: skrzypią pióra, szeleści papier, ktoś komuś wylał na głowę kałamarz z atramentem. W ruchu znajdują się zdobyczne wieczne pióra i sprężynowe ołówki.

Dziś otrzymaliśmy „Czerwoną gwiazdę“ z wierszem „Dalekiemu przyjacielowi“ i wszyscy nasi wywiadowcy chwycili za pióra — przepisują Wasze wiersze i posyłają je przyjaciołom, kochanym dziewczętom, znajomym i nieznajomym. Nawet nasz chwacki wywiadowca, Iwan Kałajew, dla którego łatwiej wziąć „języka“, niż napisać parę słów, również coś tam wypisuje w swoim kąciku.

Drogi Konstantynie Simonow! W imieniu naszych gwardzistów chcę Wam opowiedzieć o tym, jak bardzo lubimy Wasze wiersze i jak bardzo szanujemy Was za to, że lepiej niż ktokolwiek inny rozumiecie żołnierzy frontowych, którzy po przeszło dwu latach wojny przywykli już do wszystkiego na tym świecie, i gotowi są uwierzyć we własną nieśmiertelność, lecz których uczucia do „dalekiego przyjaciela“ jedynie zaostrzyły się, stały się prostsze i czulsze.

Drogi Konstantynie Simonow! Nasi gwardziści byliby strasznie zadowoleni, jeśliby otrzymali od Was parę strofek. Przeczytam je im przed walką, względnie przed wyjściem na wywiad. Nasi gwardziści zasłużyli sobie na to, gdyż jeśli któryś z nich padł, padał zawsze twarzą na zachód. Nasz wywywiadowca, Mikołaj Muchin, został ranny w nogę, w głowę i pierś. Wypełzając z niemieckich okopów spotkał on Niemca i zranił go wystrzałem z rewolweru. Ociekając krwią dźwigał Niemca na sobie na odcinku czterystu metrów, a w odległości 40 metrów od własnych okopów stracił przytomność. Nasi zabrali jego i Niemca. Gdy spytano Muchina, w jaki sposób wystarczyło mu sił, by dźwigać Niemca, odpowiedział: „Toż to przecież „język“.

Z gorącym pozdrowieniem

kapitan gwardii

A. Wanin

LIST DO ILII ERENBURGA

8 kwietnia 1945 r.

Żołnierze bohaterskiej Armii Czerwonej Ilii Erenburgowi.

Przesyłamy Wam, żołnierzowi Armii Czerwonej, frontowe pozdrowienia, od żołnierzy karpackich, w dzień naszego wspólnego zwycięstwa nad niemieckimi najeźdźcami.

Dziś nasz kolektyw artylerzystów otrzymał Wasz drogi list, za który serdecznie dziękujemy. Po pierwsze: list Wasz dodał nam skrzydeł do nowych wysiłków. po drugie: sumiennie wypełniamy Wasze wezwanie „sądzić morderców ogniem“.

Nasza zemsta nie jest ślepa, nasz gniew nie jest nierozsądny. My, żołnierze Armii Czerwonej, byliśmy naocznymi świadkami wszystkich niemieckich zbrodni na naszej ziemi i w krajach Europy. Pamiętamy dobrze, dzieci i prawnuki nasze nie zapomną Babiego Jaru, Majdanaka Jesteśmy żywymi świadkami niemieckich zbrodni w Oświęcimiu. Nie byliśmy tam jak na wycieczce — o nie. Byliśmy tam jako świadkowie, jako sędziowie śledczy, zbierający materiał oskarżenia dla sądu nad Niemcami.

Wierzyliśmy w zwycięstwo w 1941 roku, twardo szliśmy przed siebie w 1944 roku, kroki nasze są gigantyczne w 1945 roku — idziemy na Niemcy. Tak Macie słuszność. Berlin nie jest za górami. Znajduje się na naszej mapie jako punkt następnego uderzenia.

Pozwólcie, że pozdrowimy Was i złożymy gratulacje z powodu przyznania Wam przez rząd francuski orderu Legii Honorowej. Odznaczenie to jest uwieńczeniem sławy żołnierza, walczącego z faszystowskimi Niemcami.

Życzymy Wam sukcesów na polu bitwy.

Z polecenia wojskowej jednostki 17 210

A. N. Szaranow

*) Z wydawn.: „Pisarze w ojczyźnianej wojnie 1941—45 r.“, Moskwa, 1946 r.



Michał Szołochow na froncie



K. Simonow (w środku) z dowództwem baszkirskiej dywizji kawalerii w 1942 r.

dowe nie szczędzą czarnych barw w odmalowaniu ponurej rzeczywistości chłopskiej, a czyni to zwłaszcza „Zaranie" w Królestwie, zaś „Przyjaciel Ludu" w Galicji. W tysiącach polskich wsi lud chodzi wprawdzie regularnie do kościoła, lecz z równą punktualnością nawiedza karczmy. Ogłupiony i otępiony przez wyzyskiwaczy zakłada pieczołowicie różne kółka różańcowe, klepie pacierze i zdaje się w swej niezaradności na „łaskę boską", gazety bowiem ani książki do rąk nie weźmie, przez co wypełnia skrupulatnie nauki takich kaznodziei, jak ks. Rembielińskiego w Belsku, który głosił z ambony: „Na co tobie bracie włościanie nauka?... Dosyć dla ciebie, gdy umiesz czytać tyle, co się modlisz z książki w kościele", a takie kazania płynęły przez dziesiątki lat z tysięcy ambon wiejskich.

Nic więc dziwnego, że „gospodarzy się najczęściej bez płodozmianu, plony mizerne, brat brata rodzi, zysku nie daje żadnego, nawóz lichy i ten jeszcze często woda deszczowa ługuje; sady, gdzie je mamy, to gromady nędznych drzew, bezładnie stojących, krzywych, objedzonych z liści przez robactwo — to obraz przeciętny naszych gospodarstw. A dalej, dzieci bez opieki i nauki dziczeją, młodzież na dzikich pohulankach i plugawych rozmowach czas traci, zwyradnia charaktery, w chatach brud, drogi bez drzew, pełne wyboi". („Zaranie" 1908, nr. 26).

W tę nabrzmiałą wszelkimi sprzecznościami chłopską rzeczywistość uderza siłą dziejowego huraganu pierwsza wojna światowa, a po jej zakończeniu wybuch wielkiej radości i zapału do tworzenia nowej Polski, Polski ludowej. Lecz radość długo nie trwała, szybko prysły złudzenia, bo siły wstecznictwa okazały się potężniejsze, aniżeli uczuciowe porywy młodych ruchów społeczno-politycznych, pragnących realizować nowy ład nawet drogą rewolucji.

Wieś zostaje wtłoczona w łożysko swojej starej nędzy, tym groźniejszej, że zamykają się drogi światowych wędrówek za zarobkiem, a w ojczyźnie możliwości zarobkowania nie nadążają za naturalnym przyrostem ludności. Reforma rolna okazała się oszukańczym złudzeniem, a przemysł od razu zapadł na chorobę niedorozwoju w warunkach zapóźnionego i już zwyrodniałego kapitalizmu.

W połowie tego czasokresu, a więc w r. 1931 społeczno-gospodarcza struktura wsi przedstawia się następująco:

Na ogólną liczbę gospodarstw chłopskich 3.196.000 mamy:

gospodarstw karłowatych poniżej 2 ha	747.100
„ drobnorolnych do 5 ha	1.136.100
„ średniorolnych do 10 ha	728.700
„ bogatszych ponad 10 ha	309.100
„ bliżej nieokreślone (w tym do 50 ha)	274.000

Sytuacja bardzo podobna do okresu sprzed I wojny światowej, lecz równocześnie o tyle gorsza, że wieś w tym czasie musiała dusić u siebie narastającą nadwyżkę ludności i karmić coraz nędzniej zbędny nadmiar rąk do pracy. O tym wewnętrznym przeludnieniu wsi świadczyć może następujące zestawienie statystyczne: jeżeli weźmiemy za podstawę ludność zawodowo czynną w rolnictwie na 100 ha, to otrzymujemy w tym czasie następujące wskaźniki dla poszczególnych krajów:

Dania — 16, ZSRR — 16, Anglia — 17, Finlandia — 18, Francja — 25, Węgry — 30, Niemcy — 34, Czechosłowacja — 35, Szwecja — 38, **Polska — 50.**

Lecz przeciętny wskaźnik nie jest dla Polski wskaźnikiem właściwym, ponieważ przy gospodarstwach karłowatych i drobnorolnych skacze on do 200 osób, czyli że gospodarstwa karłowate są czterokrotnie przeludnione nawet w sosunku do przeciętnego wskaźnika polskiego. Ostateczny wynik obliczeń wykazywał, że na wsi w Polsce przebywało w tym czasie ponad 8 milionów osób całkowicie zbędnych, bez których praca na roli w niczym by nie ucierpiała, ale które musiały się dusić na miejscu, pomniejszając przeciętny dochód na osobę i powiększając ogólną nędzę chłopską.

Dochód społeczny na głowę mieszkańca kształtował się w Polsce w 1935 r. następująco:

Na utrzymanie miesięczne wydawali: kapitalista — 1100 zł., ksiądz — 335 zł., pracownik umysłowy — 111 zł., drobnomieszczanin — 40 zł., robotnik — 36 zł., chłop — 20 zł., chłop na gospodarstwie karłowatym — 13,5 zł, a chłop bezrolny, dawny „bandos", nawet stawki chłopa karłowatego nie osiągał. (Dane wg „Chłopskiego Życia Gospodarczego", 1936, nr 10).

Nie posiadamy odpowiednio szczegółowej statystyki, która wskazywałaby nam szybkie pogłębianie się klasowych różnic wewnątrz samej wsi, ale jest rzeczą samą przez się zrozumiałą, że proces ten postępował szybko w dwóch kierunkach: wzmacniał nieliczną grupę „kmieci" na drodze automatycznej kumulacji ziemi tych, którzy popadając w coraz większą nędzę: bądź to wyzbywali się rozdrobnionych działek, bądź trzymali je nominalnie, zapadając się coraz głębiej w ekonomiczną i społeczną zależność od stosunkowo bogatszego otoczenia. To było żelazne i nieuchronne prawo złego ustroju, a żyć trzeba było choćby i za łyżkę strawy.

Toteż ogólny obraz wsi pogorszył się w porównaniu do czasów „Zarania" i galicyjskiego „Przyjaciela Ludu". Niech dla ilustracji posłuży nam jeszcze jedna „migawka", bo tylko taką „filmową" metodą można te sprawy naświetlać w tak daleko posuniętym skrócie. Właśnie dla ilustracji wybieram wieś nie byle jaką, bo samą Gać Przeworską, tę chłopską Mekkę, której promienie ogrzewały dopiero z dość znacznej odległości, najbliższe zaś osiedla, a i sama Gać pogrążone były w pomroce nędzy i bezruchu, w którym kostniała wewnętrzna krzywda wsi:

„O zmierzchu kończy się życie w Gaci, bo o zmierzchu włażą pod pierzyny ludzie głodni, aby łatwiej przespać i przeczekać do następnego dnia. Cóż z tego, że istnieją książki, piękne, wartościowe, które człowieka na wyżyny człowieczeństwa prowadzić mogą, cóż z tego, że w Gaci jest nawet Spółdzielcza Książnica Gacka, cóż z tego — jeśli głodny chłop, głodna kobieta, głodna młodzież, musi trawić zimowy, wieczorny czas w pościeli, po ciemku i czekać aż zadnieje?

Chłop jest cierpliwy, chłop czeka spokojnie, chociaż wie, że w Borysławiu, w Drohobyczu nafty jest tyle, że rozjaśniłoby wszystkie chałupy w Polsce.

Słowikowi zachorowała żona. Ciężki poród, trzeba czym prędzej jechać po doktora. Słowik nie ma konia (jak większość chłopów w Gaci), trzeba więc prosić sąsiadów. Kamczyk nie pojedzie, bo ma... wóz niesmarowany, Bodkowi koń nagle zachorował. Jagła zaziębił się i nie może jechać, a konia w obce ręce boi się dać...

Słowikowa wije się w bólach, pomoc potrzebna natychmiast. Doktora przywiozły wreszcie konie proboszczowskie. Pomoc spóźniona. Słowikowa zmarła. Ciemno w Gaci Przeworskiej. Więc to tak wygląda solidarność chłopska? Chłop bezrolny, chłop morgowy?"

(B. Drzewiecki: W Gaci Przeworskiej ciemno. Chłopskie Życie Gospodarcze. 1936, nr 7).

Był grunt, urodzajny grunt, na chłopski radykalizm czystej wody. Był przed pierwszą wojną światową i był po wojnie! I takim też radykalnym był ten początkowy chłopski ruch polityczny, tylko że już u kolebki stanęły na jego straży oparte o kapitalistyczno-ziemiańskie siły „opiekuńcze fikcje", którymi zaćmiewano mu właściwą drogą rozwoju i które zbyt często paczyły jego najśmielsze porywy.

Michał Rękas

c. d. n.

Józef Pogan

Zmierzch ludowej piosenki

Niejeden powie: — „Miło byłoby posłuchać, jak to dawnymi czasy, ot, chociażby jeszcze przed pierwszą wojną światową, ta „wieś spokojna i wesoła" — rozbrzmiewała nutą prostych, niewinnych, ludowych piosenek. Czy to na chrzcinach, na weselu, przy żniwach, czy przy kopaniu ziemniaków, czy na pastwisku lub w pogodny wieczór — zawsze płynęła z ust ta „nasza", ludowa nuta, wypowiadając się radością, smutkiem, tęsknotą... A dziś już rzadko usłyszy się prawdziwą ludową piosenkę — wpływ mieszczański zrobił godny politowania przewrót".

Prawdą jest, że wiele z tych dawnych piosenek i przyśpiewów ma w sobie znamiona swoistej ludowości, jednak nie budzi żadnej wątpliwości, że w większości dźwięczała w nich nuta szlacheckiego piętna. Dotyczy to zarówno dłuższych piosenek jak i jednozwrotkowych przyśpiewów.

W podojcowskich wsiach najbardziej lubionymi przez lud piosenkami i przyśpiewami były:

Styry konie we dworze, zodyn niemi nie orze, nie orze.
Orze, orze Janicek, tyn zielony trownicek.

Krakowiocek jedyn mioł koników siedym,
Pojechoł na wojnę, ostoł mu się jedyn.

Niedaleko jawora, jawora, stoi lipka zielona,
A pod tą lipką ślicno Krakowianka drobne listecka zbierała.
Król sie o tym dowiedzioł, styrema końmi przyjechoł...

Iskierecka ognia, gałązecka zielo,
Nik sie nie doceko moigo weselo.
Bo moje wesele, za granicą bedzie,
Na moje wesele styrek króli zjedzie...

Powiadajo ludzie, ze jo siedze w budzie,
A jo na pagórku w malowanym dwórku.

...Jego ocka ślicne jakby hrabie, hojra, jakby hrabie,
Spodobały by sie kazdy babie, hojra, kazdy babie.

Chocioz mało mom w stodole, stoi flasecka na stole,
A jo sobie godzien, godzien, wypije se wódki codzień.

Wysoki zomecek, jesce go murujo,
ładne panienecki, jesce sie malujo.

Ni maści to, ni ma jak to chłopu na wsi,
Utnie psu ogona, kapuste omaści.

Dzwony dzwonio, bębny bijo, wojackowie masierujo,
Jo bym tyz tak masierowoł, zeby mi kto konia siodłoł.

Ulubionymi piosenkami były też te ze śpiewnika, chociaż przekręcane na gwarową wymowę.

„Wezne jo kontus, wezne jo zupon, szable przypose,
Póde do dziewcyny, póde do jedyny, tam sie uciese".

„A ty starosto wyjezdzoj z podwórzo moigo,
Bede jo sie spodziewała kogoś godniejsygo".

Dwie ostatnie jako „oficjalne" wcale nie wymagają komentarzy. Ale te „styry konie dworskie, siedym jednygo Krakowiocka, królowie, malowany dworek, ślicne hrabie ocka, wysoki zomecek, siodłanie konia" noszą na sobie wyraźnie szlacheckie piętno. Nawet ta: „Chocioz mało mom w stodole" zapewne zrodziła się za czasów pańskich karczm po wsiach. Także „omaszczenie kapusty psim ogonem" musiało być pańskim pomysłem dla pocieszenia czy dodania powagi potulnym kmiotkom.

W czasie pierwszej wojny światowej przyjęły się mocno takie piosenki:

Przybyli ułani pod okienko,
Stukajo, pukajo, puś panienko...

i

Przysła z Widnia kartecka, ze bedzie wojenecka,
Som sie Heler (Haller) **dziwowoł, dziwowoł,**
Z kim to bedzie wojowoł, wojowoł.

Śpiewano je jeszcze i po wojnie, ale coraz to rzadziej.

Już po roku 1920 wszystkie wymienione powyżej piosenki poczęły zanikać po wsiach. Starsi śpiewali je jeszcze, ale coraz rzadziej. Natomiast młodzi śpiewali nowe, te „nie chłopskie ino pańskie". Dziewczyny śpiewały najczęściej:

Zielono łącka, piekny kwiat,
wędruj chłopcyno z mną w świat...

Zwykle jesienią tak bywa, ze miłość więdnie jak kwiat.

czy też: **„Kacki za wodą, gęsi za wodą"...**

Czasem też powtórzono przedwojenny przyśpiew o „wysokim zomecku" czy o „malowanym dwórku". Zaś chłopcy śpiewali najczęściej:

W murowanym mieście siedziołem w hereście,
Za jako przycyne, zgwołciłem dziewcyne.

Ksiądz mi zakazowoł, zebym nie całowoł, dziewcątek,
A jo sobie muse, uradowac duse, choć w piątek.

Pani dziś jes bez koszulki, słońce zdradziło mi to...

czy też o tej kokosi, co to:

Zniesie mi jojek dwieście,
Kupie se domek w mieście...

Śpiewali też i trywialne jak:

Wędrowali sewcy bez tyn gęsty las,
Napotkali staro babe, jedyn ....

Ksiądz Kaśke gonił, ksiądz Kaśke gonił po pokoju w trepkach,
Jaz ją dogonił, jaz ją dogonił w stodole na snopkach.
Jak ją dogonił, jak ją dogonił ....

Staro baba jak cholera,
kciało jej sie kawalyra.

oraz tę jaką W. Żukrowski zanotował w „Lotnej" („Z kraju milczenia").

„Staro baba hyc, hyc,
kozała se ostrzyc..."

Jak z powyższego zestawienia wynika, ludowość piosenki wraz z jej szlacheckimi zabarwieniami i obciążeniami zanika po pierwszej wojnie światowej, choć jeszcze tu i owdzie i dziś się przemyka i pobrzmiewa... W przypomnianej garści piosenek z moich rodzinnych, Ojcowskich stron chciałem uwydatnić inny proces. Po pierwsze, trwałość, tzn. długotrwałość pośredniowiecznych stosunków na wsi, wpływu folwarku i plebanii, utrzymała tekst (a i melodię) w granicach tradycji rekwizytów szlacheckich, ale, jak mi się zdaje, już dawniej emigracja chłopska wewnątrz kraju i zagranice przynosi z powrotem na wieś zmienne fale nowych „fasonów" piosenek. Po drugie — te fale nie obejmują ani całych regionów, ani tym mniej całego chłopstwa. Te piosenki nie są już obrzędowo-stanowe. Nawet w pojedynczej wsi zahaczają tylko o część młodzieży i to przede wszystkim kawalerki bogatej i kawalerki rozbójniczej. Po trzecie — co widać na przykładach, jakie ja pamiętam poczynając od mojego dzieciństwa — **wpływ z zewnątrz** nadal wnosi na wieś piosenki wrogie ideologicznie, szkodliwe społecznie.

Można tu wyróżnić dwie grupy piosenek. Jedna, co tu dużo gadać — wyraźnie polityczna. Były to piosenki z okresu legionowego (i ułani — znów! i „Heler z Wiednia") i z wojny z r. 1920, smażone agitacyjnie, przed „zarazą ze wschodu", a grające na rannwości parafian. Były to z tej samej czy pokrewnej fabryki produkowane antyżydowskie paszkwile. Co w tej grupie piosenek uderza to to, że pod stare melodie (zatem „ludowe") podkładało się tekst też „schłopiony", aby chłop czuł to za swoje, z dawnością związane.

W drugiej grupie widać nalot mieszczańskiego „tanga", rozwydrzenie erotyczne, które odnowiło dawne rubaszne i wulgarne piosenki erotyczne, przez co dostawało się i plebanom (jak w tej piosence, co to „ksiądz Kaśkę gonił").

Piosenki o poważnym charakterze i najszerszym zasięgu, jak np. wiciowe — i one przecież były komponowane w **organizacji.** Hymny wiciowe wyszły spod pióra Młodożeńca i Z. Solarzowej. I na nich wycisnęła swój stempel filozofia i polityka spoza wsi do wsi idąc. Szlachetna w intencji, ale idealistyczna i jeszcze nie ta, co trzeba. Sumując — zmierzch tej mitycznej „samorodnej i dawnej" piosenki nastąpił dawno. A wieś żyła i żyje piosenką. Droga wsi była drogą do Polski i świata. Zatem do jego piosenek i z piosenkami o sobie, ale takimi, które by ją łączyły z tą Polską i tym światem, co walczy o lepsze jutro wszystkich i realizuje je. Takie piosenki trzeba tworzyć — samorodnie? Nie, przez artystę, który wypowie dążenia i przeżycia mas biedniackich i średniorolnych w drodze do tej Socjalistycznej. Trzeba takie tworzyć — bo co można zaobserwować? W rodzinach kmiecych, pół-kmiecych, tych z dala od traktów, acz słabo ale odnawia się stare echo o „zomecku, o królu, czy hrabich ockach". Dlaczego?

Bo im się nie podobają „jakieś wymysły i nowości", im, u których jeszcze i zboże w duże snopy się wiąże i „knębiem" o ziemię je „cupają", u których w domach różne urzeczyska się zdarzają, boginki dzieci odmieniają, jakiś diabeł w Wigilię Świąt w sadzawce się kąpie, czarownica mleko odbiera i różne cuda się dzieją. Ci to, a nie górujący „oświeceni" bogacze i nie szukająca wyjścia do życia biedota — jeszcze jako tako podtrzymują tradycyjną, szlachecko-ludową nutę w piosenkach. Jednak tych „starowierów" coraz mniej jest na wsi, więc nie tylko, że „se nijak nie mogą poradzić z ludzkim zepsuciem, ale się z trudem od niego wzdychaniem i żegnaniem opędzają". Ambona — trzeba to przyznać lojalnie — bardzo im w tym pomaga.

SPROSTOWANIA

Do artykułu Władysława Strzemińskiego „Współcześni robotnicy?", „Wieś" nr 7 (186) wkradł się błąd korektorski: w artykule i pod zdjęciami powinno być **Wela Symonowicz.**

*

Autorką rysunków w numerze 8 (187) tyg. „Wieś" na str. 8 jest p. H. Orzechowska, a nie H. Olszewska, jak mylnie podano.

*

W przypisie do artykułu Roger Garaudy'ego „Jak żyją artyści-plastycy we Francji" wkradł się z przyczyn technicznego niedopatrzenia błąd, który niniejszym prostujemy: gen. Cavaignac był nie prezydentem, lecz kandydatem na prezydenta Francji. Za błąd przepraszamy czytelników za sprostowanie— krytyków, którym odbieramy tak świetną okazję napisania złośliwej noty.

Władysław Błachut

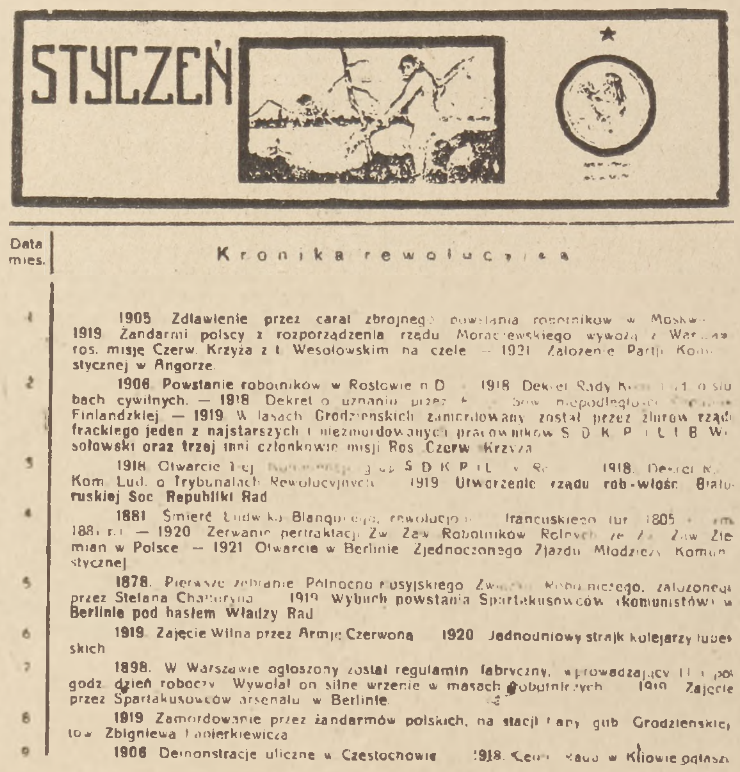
KALENDARZ KOMUNISTYCZNY

W poszukiwaniu materiałów do historii kalendarzy „ludowych“ w Polsce w bogatych zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej natrafiłem m. in na rzadki egzemplarz „Kalendarza Komunistycznego na rok 1922“, wydanego w Moskwie nakładem Spółki Wydawniczej „Trybuna“ (Polskie Wydawnictwo Komunistyczne). Ten jedyny egzemplarz tępionego na ziemiach polskich wydawnictwa dostał się w posiadanie Biblioteki Jagiellońskiej w roku 1928 z daru p. Morelowskiego i dopiero dziś doczekał się należytej oceny ze strony interesujących się rozwojem myśli rewolucyjnej w Polsce czytelników.

Pokaźny objętościowo (kilkaset stron druku) „Kalendarz Komunistyczny“ w swej bogatej treści odbiega tak dalece od niezwykle popularnych a zasadniczo bezwartościowych wydawnictw kalendarzowych w Polsce, że po bliższym zapoznaniu się raczej uznać go należy za przystępnie, a niemniej naukowo opracowany podręcznik historii ruchów rewolucyjnych na ziemiach polskich i zbiór podstawowych wiadomości z teorii marksizmu. Nie ulega wątpliwości, że chroniący się na terytorium bratnich republik radzieckich przed eksterminacyjną polityką reakcji polscy rewolucjoniści z lat 1918—1921, doceniając rolę i znaczenie wydawnictw kalendarzowych w życiu naszych mieszkańców miast i wsi (kalendarze stanowiły często jedyną lekturę świecką mas proletariackich w Polsce) chcieli w ten sposób oddać w ręce licznie jeszcze w tym czasie rozsianych na terytorium ZSRR Polaków wartościowe wydawnictwo, popularyzujące myśli i osiągnięcia rewolucyjne i zawierające słowa prawdy o Związku Radzieckim i obszarniczo-kapitalistycznej Polsce Piłsudskiego.

Ze wstępu dowiadujemy się, że wydawnictwo to „...jest dalszym ciągiem **„Kalendarza Komunistycznego na rok 1920. Treść jego jednak została wzbogacona działami z dziedziny wiedzy przyrodniczo-społecznej, z dziejów socjalizmu oraz informacji praktycznej i naukowej. Forma zaś przybrała wygląd bardziej estetyczny dzięki licznym ilustracjom. Kalendarz Komunistyczny na rok 1922 jest przeglądem naszych zasad budownictwa i doświadczenia rewolucyjnego z dwóch lat ubiegłych. Zawiera również charakterystykę warunków gospodarczych i życia politycznego Polski współczesnej... Kalendarz Komunistyczny winien stać się podręczną książką komunistów polskich w Rosji, na Białorusi i Ukrainie...“**

Za bezwzględnie najcenniejszą pozycję w ciekawym i wartościowym „Kalendarzu Komunistycznym“ uznać należy niezwykle sumiennie i drobiazgowo opracowaną kronikę wydarzeń rewolucyjnych w Europie na przestrzeni lat od roku 1871 (Komuna paryska) do roku 1921 włącznie, ze szczególnym uwzględnieniem zjawisk rewolucyjnych na ziemiach polskich, w Rosji i w Niemczech. Kronika ta zawiera m. in. kilkaset pozycji dotyczących manifestacji strajkowych ludu pracującego Polski w pamiętnych latach 1905/6 oraz w roku 1920 (okres awanturniczej wyprawy kijowskiej) i przedstawia dziś ogromną wartość historyczną.


STYCZEŃ

Data mies.	Kronika rewolucyjna
1	1905 Zdławienie przez carat zbrojnego powstania robotników w Moskwie. 1919 Żandarmi polscy z rozporządzenia rządu Moraczewskiego wywożą z Warszawy ros. misję Czerw. Krzyża z t. Wesołowskim na czele. — 1921 Założenie Partii Komunistycznej w Angorze.
2	1906 Powstanie robotników w Rostowie n D. — 1918 Dekret Rady [illegible] o slubach cywilnych. — 1918 Dekret o uznaniu przez [illegible] niepodległości [illegible] Finlandzkiej. — 1919 W lasach Grodzieńskich zamordowany został przez zbirów rządu frackiego jeden z najstarszych i niezmordowanych pracowników S. D. K. P. i L. t. B. Wesołowski oraz trzej inni członkowie misji Ros. Czerw. Krzyża.
3	1918 Otwarcie I-ej [illegible] S. D. K. P. i L. w R[illegible] — 1918 Dekret K. Kom. Lud. o Trybunałach Rewolucyjnych — 1919 Utworzenie rządu rob.-włośc. Białoruskiej Soc. Republiki Rad.
4	1881 Śmierć Ludwika Blanqui'ego, rewolucjonisty francuskiego (ur. 1805 [illegible] 1881 r.). — 1920 Zerwanie pertraktacji Zw. Zaw. Robotników Rolnych ze Zw. Zaw. Ziemian w Polsce. — 1921 Otwarcie w Berlinie Zjednoczonego Zjazdu Młodzieży Komunistycznej.
5	1878. Pierwsze zebranie Północno-rosyjskiego Związku Robotniczego, założonego przez Stefana Chałturyna. — 1919 Wybuch powstania Spartakusowców (komunistów) w Berlinie pod hasłem Władzy Rad.
6	1919. Zajęcie Wilna przez Armję Czerwoną. — 1920 Jednodniowy strajk kolejarzy lubelskich.
7	1898. W Warszawie ogłoszony został regulamin fabryczny, wprowadzający 11 i pół godz. dzień roboczy. Wywołał on silne wrzenie w masach robotniczych. — 1919 Zajęcie przez Spartakusowców arsenału w Berlinie.
8	1919 Zamordowanie przez żandarmów polskich, na stacji [illegible] gub. Grodzieńskiej tow. Zbigniewa [illegible]ierkiewicza.
9	1906 Demonstracje uliczne w Częstochowie. — 1918 [illegible] w Kijowie ogłasza

Strona 20 Kalendarza Komunistycznego

W dalszej części „Kalendarza“ każdego marksistę zainteresować muszą zdjęcia i życiorysy poległych w latach 1918—1921 polskich działaczy rewolucyjnych, jak Ignacego Gruszkowskiego (zginął w walce z bandami Kołczaka), Jana Tarwackiego (zamordowany przez białogwardzistów na Krymie), Jana Tyszki (redaktor berlińskiej „Die rote Fahne“, zginął w pamiętnej rzezi berlińskiej 1919 roku), Bronisława Wesołowskiego (jeden z założycieli SDKP i L — zginął w styczniu 1919 roku z rąk polskich żandarmów) i wielu, wielu innych rewolucjonistów polskich, który w walkach o postęp i sprawiedliwość na świecie nigdy i nigdzie nie szczędzili własnej krwi i własnego życia. Przy tej sposobności Autorzy „Kalendarza“ słusznie stwierdzają, że... **„najpiękniejszą cechą polskiego ruchu robotniczego jest ta jego właśnie międzynarodowość. Wierna swoim tradycjom i swoim zaprzysiężeniom partia proletariacka Polski nie tylko na własnym polskim szańcu rewolucyjnym obficie krwią broczy, ale i na dwóch najpoteżniejszych i najważniejszych okopach rewolucji współczesnej i w Niemczech, i w Rosji — najlepszych wystawia bojowników i najcięższe ponosi ofiary...“**

Po tej części ogólnej i niejako oficjalnej „Kalendarz Komunistyczny“ przynosi nam cykl popularnych artykułów pt. „Nauczyciele socjalizmu“, gdzie anonimowy autor poddał wnikliwej i na ogół trafnej analizie dzieła Tomasza Moora, Saint-Simona, Karola Fouriera, Roberta Owena, Marksa, Engelsa, Róży Luksemburg i wielkiego Lenina, skrzętnie notując i wydobywając na światło dzienne wszelką myśl i naukę rewolucyjną zawartą w tych dziełach.

Obszerne studium pt. „Pierwsza próba“, poświęcone pamięci Komuny paryskiej, zawiera wiele nieznanych na ogół informacji na temat walki i śmierci na barykadach. Paryża polskich przywódców Komuny — Jarosława Dąbrowskiego i jego towarzysza, Waleriana Wróblewskiego.

Szczególnie interesujący dla nas w dzisiejszym okresie przebudowy ustroju rolnego wsi polskiej jest artykuł S. Heltmana pt. „Sprawa chłopska a rewolucja proletariacka“, gdzie możemy znaleźć wiele cennych uwag na temat tzw. kwestii chłopskiej, a w szczególności trafną charakterystykę wyodrębniających się klasowo w ustroju kapitalistycznym grup chłopskich oraz ich powiązań z klasą robotniczą i myślą rewolucyjną w państwie socjalistycznym.

Wiele cennych i ciekawych, nawet bardziej wtajemniczonym marksistom nieznanych wiadomości przynoszą artykuły: „Związek Bratnich Demokratów“ (założony w roku 1844 w Londynie przez niemieckich, polskich i włoskich emigrantów) i St. Bobińskiego „Od Proletariatu do Komunistycznej Partii Polski“. W szczególności z wyczerpującego studium Bobińskiego poznajemy w interesujących szczegółach historię „Proletariatu“ Waryńskiego, partii SDKP i L i początków Komunistycznej Partii Polski.

W dziale obejmującym całość stosunków polsko-radzieckich warto dokładnie zapoznać się z niezwykle starannie opracowanymi artykułami na temat przyczyn i przebiegu konfliktu polsko-rosyjskiego w latach 1919—1921, pokoju ryskiego, oraz stanu posiadania, wpływów i rozgrywek partii politycznych w ówczesnej Polsce Piłsudskiego. Tu znawca stosunków polsko-radzieckich J. Marchlewski, który w roku 1919 ofiarował rządowi polskiemu pośrednictwo w konflikcie ze Związkiem Radzieckim, w wyczerpującym studium pt. „Rzeczpospolita Polska a Rosja Radziecka“ wyraźnie podkreśla, że rewolucja rosyjska, która przyniosła Polsce wolność, ani na chwilę nie zagrażała egzystencji swego zachodniego sąsiada. Równocześnie jednak melancholijnie zauważa, że... **„w Polsce Piłsudskiego poczęto przy skrzętnym udziale PPS szczuć wszystkimi siłami przeciw Rosji Rad, rozsiewając baśni o zaborczości moskiewskiej itp. Maskowano tym wszaskiem własną zaborczość zachłanną: burżuazja i obszarnicy pragnęli za wszelką cenę utrzymać swe panowanie na Litwie, Białorusi i Ukrainie Zachodniej...“**

Podobny wydźwięk ma artykuł E. Próchniaka o kontrrewolucji polskiej w Rosji (Dowbór-Muśnicki na Białorusi, dywizja gen. Czumy na Syberii). Z tego artykułu dowiadujemy się dalej, że już po zawarciu pokoju ryskiego Piłsudski organizował na terytorium Polski specjalne oddziały kontrrewolucyjne (Bułłak-Bałachowicz, Sawinkow, Petlura) do walki z rewolucją...“ Pomnikiem hańby—pisze Próchniak — i zbrodni rządów Piłsudskiego pozostanie Księga Czerwona wydana przez Komisariat Ludowy Spraw Zagranicznych we wrześniu 1921 roku, zawierająca dowody systematycznej prowokacji, popełnianej przez rząd polski w stosunku do ludu pracującego republik radzieckich...“

W części artystycznej „Kalendarza“ znajdujemy m. in. literacki reportaż laureata tegorocznej nagrody państwowej Lucjana Rudnickiego pt. „Tak było i tak jest“ na temat walki proletariatu Warszawy z ochraną carską o postęp i sprawiedliwość...

Informacje o stanie pracy oświatowej wśród ludności polskiej na terytorium radzieckim, słowniczek najczęściej używanych wyrazów obcych i dodatek naukowy pt. „Świat, człowiek i społeczeństwo, czyli dzieje myśli ludzkiej“ zamykają bogatą treść tego cennego wydawnictwa.

Niesposób na przestrzeni jednego artykułu zreferować treść wszystkich godnych ściślejszej analizy artykułów i wypowiedzi Kolegium Redakcyjnego „Kalendarza Komunistycznego“. Biorąc jednak pod uwagę, że „Kalendarz“ ten prawie cały jest naładowany historią rozgrywających się w tym czasie walk, zwycięstw i klęsk proletariatu polskiego z reżimem Piłsudskiego i jego protektorów rodzimych i zagranicznych, wydaje mi się, że warto zwrócić uwagę naszych naukowców i publicystów na zagubiony w murach Biblioteki Jagiellońskiej dokument historyczny sprzed lat trzydziestu, nazwany niewłaściwie Kalendarzem, dziś jeszcze zasługujący pod każdym względem na szczególniejsze zainteresowanie.

Stanisław Orzeł

LIST Z TARNOBRZEGA



Zamek w Tarnobrzegu, dawna siedziba hr. Tarnowskich, dziś Liceum Rolnicze

Wisła jest piękna, tajemnicza w swej toni błękitno-szarej, złośliwa w swych wylewach. Śmieje się z jej mocy i cieszy się jej widokiem powiatowe miasto Tarnobrzeg. Od skalnego nad brzegiem występu, drogą od przewozu promowego porozłaziły się ulice i uliczki czystością mało grzeszne, z domami starego wyglądu, za to tradycją dumne, „mieszczańskimi“ zwyczajami bogate. Miasto żyło dawniej pod znakiem księżycowego herbu hr. Tarnowskich, których zamek góruje nad okolicą na jednym końcu skalnego wzniesienia. Ścieśnione hrabskimi posiadłościami, które wrzynały się jeziorami „borków“, pastwisk, ogrodów i placów w ulice — rozpycha się dzisiaj coraz szerzej.

Zamek i życie tamtych ludzi, to było tabu. Wyspa szczęśliwego próżniactwa wśród oceanu pracy i kłopotów codziennych.

Dziś zamek przyłączył się do miasta życiem szkoły, która się w nim znajduje, lecz ono po dawnemu ma swoje zwyczaje, swoje tradycje i drogi, którymi chadza.

Treścią jego są „mieszczany“. Bez nich miasto zalałaby Wisła, byłoby czymś nierealnym na wysokim wiślanym brzegu. Z dawna tu osiedli i po dawnemu żyją: rzeźnicy, stolarze, murarze, zduny — z ojca na syna zawód szanowany. Skrawek ziemi za miastem, domek — praca, jedzenie, spanie. Nowości nie lubią. Nawet stare spłowiałe kapelusze są te same. Uścisk ręki twardy i uczciwy.

— Dzin dobry, dzin dobry. Dej Boże zdrowie. A jeżeli jesteś obcy lub urzędnik, po cichu często doda: — Żeby cię szlag trafił. Zapalić zawsze wypada.

— Jo, zachowoj Panie Boże, obrazić nikogo nie chcę, ale robotę lubię i jak robić, to robić. Bo widzi pan, jo nie żoden urzędnik, taki co to—skryp, skryp piórkiem a potem papieroska, herbatki i w końcu miesiąca — grube paluchy udają liczenie—pensyjkę do kieszeni. Jo jezdem mieszczon, panie. Mieszczon z mieszczona, mieszczoński mieszczon i to każdy może przyświadczyć. Jo wycieraniem stołka portkami nie zarobiom. Jo mom ręce, panie, dzięki Panu Jezusowi i robotę znom. Pon tyż na pewno urzędnik, Boże zachowoj, abym ubliżoł. ale jo robotę robię, pola morgę mom, żunę, dom i tych trzech swoich szk, na urzędników nie dom.

W cesarskim wojsku służył, cesarza widział, korony jeszcze ma, ale ostrożny jest i tchórzliwy. Niech się inni kłócą, on roboty pilnuje i tylko swoich „mieszczonów“ uważa za godnych mieszkańców tego miasta. Niemcowi, który chleba chciał kupić, groch surowy pokazał:

— My bidny norod, o... — tym grochem cały rok człowiek żyje i kartoflem. Herr officer.

Bochny świeżego chleba leżały w komorze.

— Niech ziemię żre, my mieszczony nie damy nic. — „Mieszczon“ nie lubi urzędników. Nic nie robią i tylko szkodzą człowiekowi na każdym kroku. Bo też i wielu ich było w mieście. Starostwo, magistrat, urząd skarbowy, urząd melioracyjny, urzędy, podurzędy, no i naturalnie zawsze z szacunkiem — urzędnicy! Bez nich miasto wsią zostałoby. Najprzyjemniejsze słowo, najpiękniejszy zawód — urzędnik. Z ojca na syna i na wnuki — urzędnik.

— Ci, nowi, młodzi to: żal patrzeć, panie. Ani to papiru złożyć urzędowo, ani podpisać się z zakrętasem. My dawni, ck. (cesarsko-królewscy) trzymamy urząd.

Podanie odrzucone. Jakże — kropek brak, nazwisko po lewej „ręce“ — wstyd, to nowe wychowanie, to nowa szkoła.

— Za Franciszka Józefa, panie dobrodziku, radca przyjechał z Wiednia. My, panie dobrodzieju, guziki wyczyszczone, wszyscy w szeregu. Pochwalił. Błędy ortograficzne „pana dobrodzika“ nie rażą: podanie musi ze stemplem być i z tytułem.

— Całuję rączki i sługa pani dobrodziki.

— Sługa uniżony pana mecenasa, pana doktora, pana dyrektora, bo to już inny świat, zamknięty w swoim ogródku. Ludzie nauki, idei i pieniędzy. Szanowani przez wszystkich w mieście. Czasem na cel dobroczynny trzeba było dać, prezesem pozwolić się wybrać. Dla miasta to zaszczyt, że w ogóle chcieli w nim przebywać.

— Do miasta przychodzą i ci z Piasków i ci z Dzikowa. Dawniej pół-fornale, robotnicy majątków Tarnowskich. Swoje poważanie siebie mają. Śmieszni są im „mieszczony“, śmieszni urzędnicy. Twardy, wesoły naród.

Hej, Dzikowianie jadą,
Hej, Dzikowianie stoją,
Oj, bo się Dzikowianie,
Oj, nikogo nie boją.

Znasz Dzikowiaka, to wódkę mu możesz postawić. Zaśpiewa dalej,

Oj, żeby wam tam było,
Oj, siedemdziesiąt siedem.
Oj, to was się nie boję,
Oj, Dzikowiocek jeden.

Każdy żyje w mieście w swojej grupie, ale wszystkich łączy wspólna pogarda dla tych zza Wisły — „parasoli“ w granatowych „maciejówkach“:

— Paskudny naród — „parasole“. Na żyznych ziemiach gospodarzy.

Wały wiślane gotowy rozwalić, aby powódź na tę stronę skierować. — Przybysz w tym mieście, to najczęściej „włóczęga“. Miasto zna swoich. Miasto — to rodzina.

Dymi stary browar. Turkocze nowa fabryczka przędzalnicza, szykują plac pod nową, olbrzymią.

Za prędko to jakoś, trudno się przyzwyczaić. „Mieszczon“ jest twardy. Wolniej, na co się spieszyć?

Nowy amatorski teatr gra sztukę — „Pan inspektor przyszedł“. „Mieszczon“ teatru nie lubi, na teatrze się nie zna. W domu gazetę lub książkę synowi każe czytać, bo sam nie zawsze umie.

W słoneczne, letnie popołudnie niedzielne brzegi wiślane zbryzgane wodą — to młodzi cieszą się plażą, słońcem i kąpielą.

Miasto w tym czasie drzemie. Słońce zasłoniło się już srebrnymi topolami. Nad Wisłą ciągnie procesja. Idą poważnym krokiem w świątecznych zapiętych marynarkach w kapeluszach. Obsiedli skalny brzeg, wiślany wał, „pstrą przeplatanką kobiecych sukien, „mieszczon z mieszczonem“, urzędnik z urzędnikiem, mecenas z dyrektorem i patrzą w pozłocona zachodzącym słońcem rzekę.

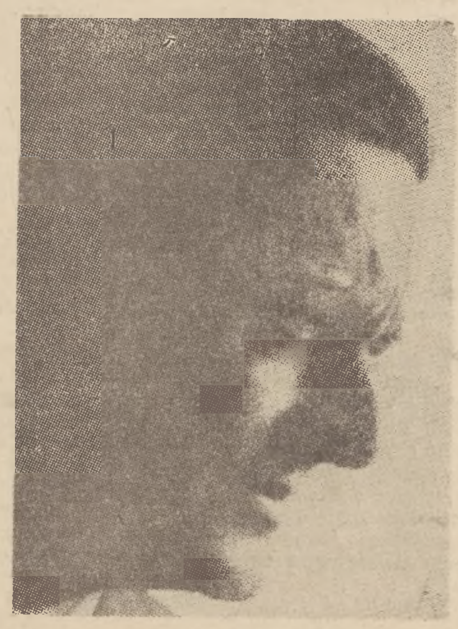
Na dalekim brzegu siedzą wędkarze-potępieńcy zakochani w szumie kipieli wiślanych.

Na skalnym brzegu, białym wisową od kwitnącej tarniny, przeglądą się wydłużonymi cieniami w Wiśle Tarnobrzeg.

Tarnobrzeg, dnia 4 lutego 1949 r.

Stefan Morawski

T. S. Eliot — Laureat Nobla 1948 r.*)



Thomas Stearns Eliot

Thomas Stearns Eliot urodzony w r. 1888. z pochodzenia Amerykanin. Od 1917 przebywa w Anglii. Z zawodu wykładowca uniwersytecki. W latach 1920—30 wydawał najpoczytniejszy miesięcznik europejski „Oriterious Review". Jego ważniejsze dzieła poetyckie (wydawca Faberand Faber): 1917 — „Prufrock and other observations", 1923 — „The Waste Land" (tłum. Cz. Miłosz „Twórczość", roczn. 2. zesz. 10 paźd. 1946) 1925— „The Hollow Men" (tłum. Wład. Duleba, ten sam numer „Twórczości"), 1930 — „Ask Wednesday", 1944 — „Four Quartets". Jego dramaty: „The Rock' (1934), „Murder in the Cathedral" (1935), „The Family Reunion" (1939).

Pisał również świetne szkice krytyczne. Dał w nich wyraz swym konserwatywnym pogladom politycznym (toryzm i teokratyzm). Do najlepszych zbiorów należą: „The Sacred Wood" (1920), „The Selected Essays" (1917—32), „The Use of Poetry and the Use of Criticism" (1933), „Elizabethan Essays" (1934).

Artykuł mój dotyczy wyłącznie poezji T. S. Eliota.

St. M.

I.

Artykuł ten piszę, ażeby zanalizować fakt na pozór paradoksalny, że w okresie najostrzejszych walk klasowych między proletariatem a burżuazją nagrodę Nobla otrzymał poeta religijny, a nie — powiedzmy — rewolucyjny. Nie mam zamiaru atakować religii. Lenin w artykule „o stosunku partii robotniczej do religii" („Książka" rok 1948, str. 237) stwierdza, że „proklamowanie wojny przeciw religii jako zadania politycznego partii robotniczej jest frazesem anarchistycznym". Jednakże w tym samym artykule podkreśla dalej, że konieczne jest „podważanie wierzeń religijnych wśród określonych warstw proletariatu", gdyż walka klasowa ma pełniejszy i owocniejszy przebieg jeśli proletariat (i chłopi, i inteligencja pracująca) zdaje sobie sprawę z kulturalno-politycznych funkcji swych pozornych przyjaciół (t. zn. Kościoła współdziałającego z naszym przeciwnikiem klasowym).

Poezja T. S. Eliota odznacza się wysokimi zaletami formalnymi, ale treściowo nie jest jednorodna. Skupiły się w niej jednocześnie: **otwarta, szczera i aktywna rozpacz współczesnego pokolenia inteligenckiego przeciw zwyrodnieniu moralnemu i kulturalnemu rodzonemu z dnia na dzień przez schyłkowy kapitalizm, oraz jałowość i zwodniczość drogi pozytywnej stawiającej tak samo jak 2000 lat temu w katakumbach wysokie postulaty etyczne dla zbawienia poszczególnych jednostek, powtarzając stare religijne treści pod nową nazwą (personalizm, humanizm chrześcijański), ale nie prowadzącej niestety ludzkości naprzód".**

Te sprzeczności zawarte w jego poezji są naturalne z niemarksistowskiego punktu widzenia. Jest w nich społeczny protest milionów pracujących przeciw nonsensowi produkcji plutokratyczno - faszystowskiej i indywidualna próba ucieczki z naszego społecznego świata walki postępu z wstecznictwem w świat prywatnych stosunków między człowiekiem a Bogiem. Źródłem tych ucieczek są również zjawiska społeczne, mianowicie słabość akcji klasowej proletariatu. Lenin (l. c.) tak tłumaczy skłonność do religii: „całkowita bezradność wobec ślepych sił kapitalizmu, który co dzień i co godzinę przynosi po tysiąckroć więcej najokropniejszych cierpień... zwykłym ludziom pracy niż wszelkie nadzwyczajne wydarzenia jak wojny, trzęsienia ziemi itd. Oto co jest najgłębszym, współczesnym źródłem religii. Strach stworzył bogów".

Być może, że w tych wypowiedziach wyraża się intensywna szczera chęć wyprowadzenia ludzkości z ślepego zaułka kryzysów gospodarczych i niszczenia białych i czarnych kulisów kapitalizmu. Nie wiele liczą się jednak zamiary i intencje, lecz ich społeczna, materialna wymowa. Bogobojne zamiary nie wyprowadzają z kapitalizmu — wyrażają tylko jego wewnętrzne zagmatwanie i trudności. Wyzwalają być może mistyczne urojenia, napewno jednak nie wyzwalają z trudności ustroju kapitalistycznego. Takim zwodniczym prorokiem wydaje się właśnie T. S Eliot

II.

Byłoby banałem przytaczać tutaj analizę imperializmu z punktu widzenia gospodarczo - politycznego i powtarzać to, o czym pisano u nas wielekroć, a mianowicie, że formalizm i surrealizm są kulturowym przejawem tej fazy — schyłkowego kapitalizmu i ostatecznego rozkładu psychiki mieszczeńskiej. Inteligencja twórcza pozbawiona nowych treści społecznych ucieka od świata realnego w świat nonsensu albo „czystych" geometrycznych ornamentów. Interesuje mnie w związku z T. S. Eliotem — inny problem: wytwarzania się postawy pośredniej między absolutną negacją rozkładowych treści a pozytywną afirmacją nowej socjalistycznej rzeczywistości.

Mimo to bowiem, że coraz wyraźniej występuje polaryzacja klasowa, nie jest to proces zakończony. Istnieją ogromne masy drobnomieszczaństwa: tej zawsze wahającej się — jak genialnie określił Marks — klasy między radykalizmem proletariuszy a wstecznictwem burżuazji. Z okręgu tej grupy wyrosła teoria „trzeciej siły" (Blum — Bevin). Ludzie tego kręgu społecznego są przeciwni tyranii wielkiego przemysłu, gdyż część z nich spycha ona do proletariatu, ale jeszcze bardziej obawiają się proletariackiej rewolucji, która zabierze im prywatne renty i uspółdzielczy ich sklepiki. Przedstawicielami kulturowymi tego kręgu — oczywiście przedstawicielami jego inteligencji budującej ideologię na podłożu specyficznej pozycji gospodarczo - socjalistycznej są m. in. pisarze religijni.

Także obok formalistów i surrealistów istnieje jeszcze druga grupa twórców, z naszego punktu widzenia mistyfikatorska, odgrywająca w sferze zjawisk kulturowych tę samą rolę, jaką w zakresie zjawisk politycznych odgrywa labour - partyzm. Jest to daleko idące uproszczenie, ale wydaje mi się, że dozwolone. Ci pisarze centrum mówią o tzw. humanizmie integralnym albo też o t. zw. odrodzeniu religijnym. Można by ich stanowisko tak zinterpretować: „Jest źle z kulturą naszej epoki. Gnije. Dekadentyzm jej polega na tym, że uprawia sztukę dla sztuki. Jest na to rada. Nie uciekajmy się do radykalnego humanistycznego pisarstwa. Pozostańmy przy dawnych, starych mądrościach, które nam przekazała tradycja". Z jakich tradycji korzystają humaniści integralni (klasycznym przykładem tego kierunku jest twórczość obu Huxley'ów, Juliana i Aldousa, także Malraux i w pewnym sensie również egzystencjalistów) XVIII- i XIX-wiecznych. Walczą o tolerancję wszystkich poglądów. O „obiektywne opisywanie dobra i zła, o liberalizm i indywidualizm. O uznanie zarówno dziekana Canterbury jak i faszysty O. Mosley'a. O wolteriański „własny ogródek" i przebudowę świata (à la Helwecjusz i Holbach) za pomocą perswazji. Z jakich tradycji korzystają współcześni religianci? Z neotomizmu Saint-Exupéry, Bernanos, Chesterton i nawet z Wedanty (T. S. Eliot). Apelują do wiary w Boga i miłości bliźniego. Na modłę sainsimonistów ufają, że kazaniem można zbawić świat i następną erą będzie „un nouveau christianisme".

Pisarstwo tej grupy jest zamaskowaną (pozornie lub szczerze) dobrymi intencjami propagandą ideałów sprzecznych z postępem historycznym, uderzającym w interesy klas proletariackich. Pozostawia bowiem (jak przekonała nas o tym ostatnia wojna światowa) hegemonię na świecie faszyzmowi i obskurantyzmowi. Osłabia aktywność sił demokratycznych, gdyż albo uczy ludzi sceptycyzmu, albo odsuwa ich od spraw ziemskich. Tak czy inaczej, kwestionując wartości absolutne (Huxley) albo wysuwając wartości absolutne, nie humanistyczne, lecz nadprzyrodzone (T. S. Eliot) uprawia ten sam eskapizm co autentyczni dekadenci tj. formaliści.

III.

Rozkład kulturalny najwyraźniej zaznaczył się w postawie filozofów i naukowców. Aż po rok 1939 najpopularniejszymi myślicielami byli Freud, Bergson i Einstein. Pierwszy stworzył warunki dla „Przebudzenia się Finnigau'a Joyce'a (dopomogli w tym także Adler i Jung). Drugi — w wydaniu Le Roy i Maritaina — uwspółcześnił dogmaty katolickie. Trzeci — spreparowany odpowiednio do religijnych potrzeb przez Jeansa i Eddingtona — miał stać się dowodem, że istnieje tylko Duch, a nie istnieje materia. Charakterystyczną książką tego okresu jest Carella „Człowiek — istota nieznana". Streszczając można powiedzieć, że jednocześnie wystąpiły dwie tendencje uzupełniające się nawzajem. Relatywizm naukowy, zaprzeczenie możliwości jakiejkolwiek pewnej wiedzy o świecie i wzrost temperatury religijnej, gwałtowne zapotrzebowanie na jakieś bóstwo, jakiś wielki kanon (stąd wzięcie, jakim cieszyły się różnego rodzaju mistycyzmy i „wirujące stoliki". Tak opisuje ten rozkład kulturalny filozof sowiecki Sobolew:

„Zaczął się pochód przeciw nauce, przeciw prawdziwości poznania. Szeroką popularność zdobyły różne warianty agnostycyzmu i sceptycyzmu, możności poznania świata kategorycznie odmawiano. Zaczął się pochód przeciw rozumowi, przeciw obiektywnej absolutnej prawdzie, wzmocniło się głoszenie prawd mistycznych i fideizmu; irracjonalnie objaśniano istotę świata; powstał kult podświadomości; filozofowie, poeci i artyści krzyczeli o znikomości szarego człowieka i wzniosłości „jasnowłosej bestii", o bezperspektywności i bezmyślności ludzkiej egzystencji, a za to wysuwali mistyczne proroctwa o katastrofie światowej. Obrzydliwa, mętna i cuchnąca fala obskurantyzmu i nienawiści do człowieka, pesymizmu i erotyki, zalewała i wciąż zalewa stronice burżuazyjnej literatury. Ideologowie burżuazyjni stawiają sobie za cel zatruć uczucie i świadomość milionów ludzi, zdemoralizować ich, sparaliżować ich wolę do walki i odwieść ich od palących problemów teraźniejszości, od socjalnych konfliktów i klasowych przeciwieństw, hodując ciążące na wszystkich poczucie beznadziejności... itd.

(„Leninskaja teoria otrażenia i iskustwo" Moskwa 1947)

Taka jest geneza twórczości poetyckiej T. S. Eliota. Uwarunkowało ją ponadto specyficzne środowisko bostońskie. Z tradycjami purytańskimi tzn. z akcentem położonym na wychowanie moralne z Matheu Arnold'em i Emerson'em na półkach jego domu rodzinnego. Uwarunkowała ją w końcu dyspozycja indywidualna poety. Jego skłonność (mam na myśli nie człowieka prywatnego, lecz osobowość pisarską) do yogizmu. Jego obsesja pustelnictwa (jako wyraz wstrętu do świata pozbawionego kręgosłupa moralnego) i proroctwa (jako powinność naznaczona mu przez opatrzność, by ten świat zbawić).

IV.

Podział na dwie odrębne grupy poetyckie reprezentujące erę imperializmu jest oczywiście schematyczny. W konkretnym wypadku, np. w poezji T. S. Eliota obie grupy zachodzą na siebie. T. S. Eliot zaczął swój żywot literacki od współudziału w wypracowaniu i praktykowaniu nowej teorii poetyckiej, a potem przeszedł do pisarstwa religijnego. W początkach był biernym obserwatorem, później zaangażował się, a w końcu przejął na siebie funkcje „pontifexa maximusa". Twórczość jego można podzielić na dwa główne okresy. Do r. 1923 (do opublikowania „Ziemi jałowej") i po nim. W pierwszym okresie Eliot był przede wszystkim formalistą (tzw. imagistą) w drugim głównie, ale nie wyłącznie, mistyfikatorem *)

We wczesnych utworach T. S. Eliot starał się zrealizować teorię poetycką swego amerykańskiego przyjaciela Ezry Pound'a („obraz, obraz i jeszcze raz obraz" — żądała koncepcja tzw. imagistów). Poparł ją swymi rozważaniami młodo zmarły w czasie pierwszej wojny światowej T. S. Hulme („Spekulacje"). Podług niego (a Eliot stał się jego gorliwym wyznawcą):

1. poeta nie powinien używać słowa „ja". Poezja powinna być bezosobista; zwrócona nie od świata zewnętrznego ku nam, lecz odwrotnie od nas ku światu rzeczy obiektywnych. Nie romantyczna intuicja zatem, lecz klasyczny ideał uporządkowanych treści w zorganizowanym świecie jest jej podstawą. („Poezja nie jest niczym więcej, niczym mniej jak mozaiką słów". „Tylko przez organizację można stworzyć coś porządnego". „Jestem przeciw najlepszym nawet romantykom").

2. Materiałem poetyckim nie jest przeżycie marzeniowe, lecz przeżycie doświadczeniowe, tj.: wizja poetycka ujęta w łańcuchowe asocjacje z empirycznymi odpowiednikami.

3. Słowo powinno być „twarde" (hard) tzn. określające, pokrywające ściśle jakąś przedmiotową treść. Unikać należy nuansowych sugestji, którymi szafowali symboliści (porównać wypowiedzi Rimbaud'a czy Yeats'a z Hulme'a. „Wielka dokładność jest wymagana dla każdego słowa.. zawsze twarde, określone, osobiste słowo... każde z obrazem przylegającym do niego". — „Wszelkie uczucia zależą od prawdziwego uczucia lub dźwięku").

4. Przez uściślenie wyrażenia poetyckiego, czyli przez ekonomię przeżycia rytm poezji staje się organiczny. „Organiczny" oznacza tu tyle co: „najdoskonalej styczny z wewnętrzną treścią przeżycia poetyckiego". A zatem rym jest zbyteczny i uciążliwy. Treść warunkuje formę.

Zgodnie z wyłożoną teorią w okresie 1917 — 1922 T. S. Eliot **opisuje** świat widziany. Tylko opisuje: w „Pieśni miłosnej Alfreda Prufrocka" pocieszne wykwintnisie zajadające ciastka i rozmawiające między jedną a drugą plotką o Michel Angelo. W wierszu „Nancy Ellicot" — swą kuzynkę, która podług zasad nowoczesnej pedagogiki stosuje wolną miłość. W cyklu „Burhank z Bacdeker'em" opasłego businessmana Blausteina objeżdżającego z księżną Volupine (tylko tytuł, już bez posiadłości) bogate Stany Zjednoczone. W wierszu „Szept nieśmiertelności" obrazy powstają na tle życia kurtyzan, a w innym pt. „Hipopotam" na tle sporów sekciarskich religii. Jego poezję cechuje dokumentaryzm i bogactwo pokazywanej rzeczywistości. Z pasją naukowca notuje szczegóły, z pasją powieściopisarza czy też filmowca wprowadza galerię typów i nagle zmienia epizody. Są tam kokoty i apasze, stenotypistki i uniwersyteccy nudziarze, słowiki śpiewające elegie miłosne i krajobrazy wielkiego miasa. Świat z płócien Manet'a i Degas'a. Lubi mieszać epizody wyrażające grozę i sentymentalizm, trywialność i patos. Plastyczne i muzyczne zalety jego poezji są niewątpliwe. Utrzymuje bez zarzutu rytm „organiczny" operuje często asonansami i aliteracjami. Zgęszcza metafory. Każdemu przedmiotowi nadaje jakąś określoną własność zmysłową i jakieś **proprium** dźwiękowe, wizualne lub dotykowo-ruchowe. Śmiało obrazuje („żółta mgła ociera grzbiet o szybę"), niespodziewanie kojarzy („śmiech dźwięczący jak szklanki na chwiejącym się stole"). Ukoronowaniem tej techniki poetyckiej jest „Ziemia jałowa" — poemat przełomowy. Dla ilustracji cytuję dwa ustępy z „Ziemi jałowej" tłumaczone przez Cz. Miłosza:

„Jakież korzenie pną się, jakież gałęzie rosną
z tych kamiennych rumowisk? O synu człowieka
rzecz nie potrafisz ni zgadnąć, bo ty znasz jedynie
stos pokruszonych obrazów tam, gdzie słońce pali
i martwe drzewo nie daje schronienia, ulgi świerszcz
ni suchy kamień dźwięku wody. Jedynie
cień jest tam, pod tą czerwoną skałą.
(Wejdźcie w ten cień pod tą czerwoną skałą)
a pokażę ci coś co różni się tak samo
od twego cienia, który rankiem podąża za tobą
i od cienia, który wieczorem wstaje na twoje spotkanie;
Pokażę ci strach w garstce popiołu.

(cz. I „Grzebanie umarłych").

„Co to za miasto ponad pasmem gór
wstrząsy, zmiany, wybuchy w powietrzu fioletowym,
walące się wieże,
Jerozolima, Ateny, Aleksandria,
Wiedeń, Londyn,
nierzeczywiste.
Kobieta naciągnęła długie czarne włosy.
Muzykę palce jej z tych strun wywodziły.
Nietoperze o twarzach niemowląt w powietrzu się niosly
fioletowym, gwizdały i skrzydłami biły.
I pełzały w dół głową z poczerniałej ściany.
I odwrócone w dół w powietrzu trwały wieże.
dzwoniąc wspomnieniem dzwonów znaczących godziny
i śpiewy z pustych cystern, studni wyczerpanych".

(cz. V „Co powiedział grom?").

Ukazuje on szerokie perspektywy historyczne, socjalne i psychologiczne. „Partia szachów" (cz. 2) jest krótkometrażówką jałowej codzienności i zarazem symbolizuje pojedynek życia ze śmiercią. Chiromantka Sosostis, jest uosobieniem płytkiego patosu, ale wyraża zarazem potrzeby religijne XX wieku szukającego absolutów na drodze teozofii. „Kazanie ogniste" (część 3) miesza Buddhę, św. Augustyna i promiskualny Londyn. Część ostatnia „Co powiedział grom"? jest wyznaniem osobistej depresji autora i oskarżeniem współczesnego autorowi świata o bezpłodność cywilizacji.

Już w pierwszym okresie stawiając sobie tak rozległe zadania T. S. Eliot zdradził swą teorię poetycką. Używał słowa „ja" (w wierszu „Gerontion" i poemacie „Portret kobiety"), oprócz materiału doświadczalnego wprowadzał materiał pomyślany. Dawał nie czysty opis, lecz satyrę. Stosował wprawdzie słowa „twarde", lecz niejednokrotnie albo szedł za daleko w kierunku prozaizacji poezji (np. „Partia szachów") albo w kierunku zaciemnienia sensu wiersza przez symbolizm intelektualny. To znaczy często — choćby w „Ziemi jałowej" — cytuje po francusku, niemiecku, łacinie, grecku lub sanskrycku, używa stenograficznych skrótów, albo umyślnych igraszek logicznych (oxymoron — np. „czarna białość"), przerywa normalny tok składni. W końcu poniechał ekonomii wyrazu. Próbuje opisywać rzeczywistość bezpośrednio, sensualnie (jak Joyce w „Ulissesie"), albo też refrenizuje poematy wciąż powracając do tych samych zwrotów.

*) To przejście od imagizmu do ofensywy fideistycznej należy bez wątpienia przypisać temu, że do roku 1923 kulturalna Europa przeżywała szok po pierwszej wojnie światowej, która zburzyła stary porządek wiktoriański. Po r. 1923 nastąpiła pozorna stabilizacja, gdyż we wszystkich państwach Europy oprócz ZSRR utrzymany został ustrój mieszczański. Lecz ciągłe kryzysy, grabieżcze wojny kolonialne, wojna domowa w Hiszpanii i rozkwit hitleryzmu wskazywały na to, że ustrój ten jest nadal zgniły i jeszcze słabszy niż przed rokiem 1918.

*) Artykuł dyskusyjny — przyp. Redakcji.

V.

Od „Ziemi jałowej“ T S Eliot zaczyna krucjatę religijną Buntuje się przeciw złu. Pęka bariera między nim, a tym co się dzieje doko'a. Krzyczy: „kiedyż ułożę w porządek swe ziemie?“ Szuka wody wśród skał (bardzo wyraźny symbol biblijny). Szuka objawienia woli bożej jak ongiś Mojżesz i oczywiście jedyną odpowiedzią jest „Datta, daydhvam, damayata“ (dawaj, współczuj, kontroluj) — stara mądrość z Upaniszadów.

W „Środzie popielcowej“ (1930) postawa T. S. Eliot'a jest już sprecyzowana („naucz nas czekać w ciszy — nawet pośród skał“). Poeta powinien być pracownikiem bożym (God's worker) i zamienić swój warsztat w ambonę. Widowisko p. t. „Skała“ (1934) stwierdza bez osłonek:

**„Po wsze czasy będzie budujący
i wciąż w upadku i wciąż się odnowi“.**

Apeluje do świata jako współczesny Tomasz A'Kempis:

**„Wielu pragnie ujrzeć nazwisko ich w druku
wielu nic nie czyta prócz tekstu wyścigów
wiele jest czytania, ale nie słów Pana
wiele jest budowli, lecz nie świętych bożych“.**

Żąda pokory i cierpliwości:

**„...porzuć myśl o żniwie
a pomnij tylko właściwy siew“.**

Siebie stawia na miejscu proroka:

**„Słowo boże zeszło ku mnie rzekąc:
dałem ci prawo moje, a tyś komisje ustanowił,
dałem ci usta byś głosił przyjaźń,
dałem ci moc wyboru, a ty się wahasz
między myślą bezpłodną, a nierozważnym czynem“.**

„Mord w katedrze“ (1935) i „Cztery kwartety“ (1944) nie przynoszą nic nowego. Są tylko pogłębieniem problematyki religijnej o zagadnienia filozofizne, rozważaniami na temat stosunku człowieka do Kościoła („Mord w katedrze“ — sprawa Tomasza Bechetta), albo rozważaniami metafizycznymi na temat czasu, przestrzeni, cyklu przemian, stworzenia świata, prawdy objawionej i stosunku człowieka do wszechświata. Tak pisze T. S Eliot:

**„Czas obecny i czas miniony
oba być może są obecne w czasie, który przyjdzie,
zaś czas przyszły zawarty w czasie, który minął.
Jeśli czas wszystek jest wiecznie obecny,
czas ten jest nie do odkupienia...“**

„Burn Norton“, cz. I „Czterech kwartetów“.

Teoria imagizmu załamuje się pod naporem nowych treści poetyckich. Pojawiają się coraz częściej parafrazy wersetów biblijnych albo po prostu fragmenty prozy filozoficznej. Rytm ujednostajnia się, powraca rym. Poezja T. S. Eliota zbliża się do poezji Rilkego. Jest tak samo śpiewna, tak samo mało liryczna i tak samo intelektualnie religijna. Coraz rzadsze są w niej plastyczne, porywające wyobraźnią ustępy jak np. przedostatni występ chóru w widowisku „Mord w katedrze“ zaczynający się tak:

**„oczyśćcie powietrze, oczyśćcie niebo
Przemyjcie wiatr, odłóżcie kamień od kamienia
i każdy z nich przemyjcie...“**

Natomiast strona muzyczna, wielopostaciowa, równolegle oddająca wyraźną treść, pozostała tak jak we wczesnych utworach przednią zaletą jego poezji. Zacytujemy na zakończenie ustęp z „Little Gidding“ (cz. 4 „Czterech kwarterów“):

**Gołąb ztępując łamie przestwór
żarzącym się płomieniem grozy
i językami jej ogłasza
jedno zbawienie z win i grzechu
jedną nadzieję, albo właśnie rozpacz
w wyborze tego lub innego stosu—
aby przez ogień zbawić się od ognia.
Któż więc nakazał tę golgotę? — Miłość...“**

VI.

Jakie są — w ostatecznym bilansie — strony dodotnie poezji T. S. Eliot'a? To, że zerwał z estetyzmem, to, że niewątpliwie szczerze przejął się rolą ulepszania świata, to, że uczciwie i odważnie skrytykował upadający świat kapitalistyczny i to w końcu, że jego poezja jest oryginalna, pisana przez twórcę o dużej wrażliwości plastycznej i jeszcze większej wrażliwości na muzyczność wiersza. Jakie są jej złe strony? Mistyfikatorstwo treściowe *). To, że wysuwając Kościół jako siłę mogącą wyzwolić dzisiejszy świat kapitalistyczny od upadku, popełnia większy, gdyż szkodliwszy błąd niż esteci. Sprowadza bowiem ludzi walczących z głównego gościńca na boczne manowce. Omamia ich fałszywym mesjanizmem. Skierowuje ich energię twórczą na sprawę indywidualnego, prywatnego doskonalenia się zamiast kierować ją w łożysko kolektywnej współpracy z masami proletariackimi, w łożysko bezwzględnej walki o ustrój socjalistyczny. Łudzi ich tak samo, jak każdy kościół łudził dotąd ludzkość swymi obietnicami, a w końcu pozostawiał ją bezbronną na pastwę różnych hitleryzmów.

Wybór T. S. Eliota na laureata Nobla nie wymaga komentarzy. Jest dowodem, że również na zachodzie Europy rozwiał się mit o „czystej nauce“ i „czystej poezji“, lecz, że inteligencja twórcza niedowidzi tam nowej siły społecznej, po ratunek obracając się wstecz, jak to już kiedyś robił Carlyle w czasach Marksa, wysuwając jako zbawcę świata od kapitalizmu: klasztory średniowieczne. Jest to również świadectwem tego, jak wciąż silne (chyba prawem bezwładu lub ustokrotnionych sił przed agonią) są osady mieszczańskiej kultury. Laureatem powinien być np. Pablo Neruda. Jego poemat pt. „Niech drwal się obudzi“ poetycko nie ustępuje T. S. Eliotowi, a treściowo wyprzedza go o całą epokę. Lecz przywódcy duchowi na zachodzie Europy nie rozumieją wartości humanizmu socjalistycznego *): wciąż jedynym humanizmem wydaje im się patos religijnej wszechmiłości, którego celność została podważona przez Marksa i Engelsa i w analizie twórczości L. Feuerbacha. Jedynym ratunkiem dla inteligencji mieszczańskiej jest gruntowna zmiana postawy: przystąpienie do obozu rewolucyjnego. Tak postąpili kiedyś Błok i Aleksy Tołstoj, podobną drogą poszli najlepsi pisarze i artyści demokracji ludowych po r. 1945. Na tę samą drogę wstąpić muszą jutro pisarze anglo-amerykańscy, by razem z Howardem Fastem a **przeciw** T. S. Eliotowi — naprawdę ratować kulturę europejską przed zagładą przygotowywaną przez trubadurów wojennych z Wall-Street.

Stefan Morawski

*) Przez „mistyfikatorstwo treściowe“ rozumiem oczywiśnie nie to, że T. S. Eliot fałszywie przeżywał swe problemy poetyckie. Przeżywał je niewątpliwie nader szczerze. Mam tu na myśli to, że 1) jego recepty leczenia świata są złe, gdyż jego diagnoza choroby jest fałszywa, oraz 2) łając fałszywą diagnozę zamazuje właściwą chorobę, pośrednio sprzymierza się z tymi, co zabijają ludzkość.

*) Patrz ostatni, listopadowy numer „Horizontu“ najwybitniejszego periodyku literackiego w Anglii, którego redaktor Connolly tak odpowiada komunistom sowieckim — „....wierzymy w estetyczną postawę, że sztuka i literatura istnieją autonomicznie a nie jako przejawy politycznej postawy czy też ad maiorem Dei gloriam. Nie mamy na to żadnego dowodu, nie mamy żadnego dowodu, że jakiekolwiek absolutne wartości — Prawda, Sprawiedliwość, Cnota, Wolność — istnieją naprawdę i nie są poprostu urządzeniami dla naszej wygody...“.

Czesław Wycech

W walce ze starą strukturą szkolnictwa podstawowego



W nowej szkole (wieś Słupno)
Fot. Dąbrowiecki

Wśród wielu zagadnień oświatowych Polski Ludowej na czoło wysuwa się niewątpliwie sprawa **szkoły powszechnej**, zwanej od niedawna szkołą **podstawową**. Ważność szkoły powszechnej tłumaczy się z dwóch względów: po pierwsze stanowi ona fundament, podstawę całego ustroju szkolnego, po drugie: jest to dziś jedyna szkoła, do której obowiązani są uczęszczać **wszyscy** obywatele w określonym wieku (7—13 lat). Od wartości szkoły podstawowej w dużej mierze zależy poziom oświaty szerokich mas, ich współczesna świadomość społeczna; od niej również zależy poziom szkoły średniej, ogólnokształcącej i zawodowej.

A przedwojenne rządy sanacyjne i proendeckie robiły wszystko, ażeby obniżyć wartość szkoły powszechnej, prowadząc i na odcinku oświatowym konsekwentnie antydemokratyczną politykę. Otrzymaliśmy smutne i trudne do przezwyciężenia dziedzictwo.

Przed polityką oświatową Polski Ludowej stoi zadanie usunięcia dotychczasowych błędów i zaniedbań w dziedzinie szkolnictwa powszechnego. Usunięcie **wad ustrojowych** szkoły powszechnej wymaga dużego nakładu środków finansowych, boć przecież szkoła ta obsługuje **kilka milionów osób**. Dla dobrego jej zorganizowania potrzeba dziesiątków tysięcy nauczycieli, budynków, wyposażonych w pomoce naukowe gabinetów i urządzeń szkolnych i stąd płyną trudności w rozwiązywaniu poszczególnych problemów.

Mimo tych trudności Polska Ludowa podejmuje sprawę należytej organizacji szkoły podstawowej, bo chodzi tu o szkołę, kóra zaspokaja głód oświaty w masach chłopskich i robotniczych.

W ciągu ubiegłych trzech lat polityka oświatowa zmierzała ku temu, ażeby wznowić działalność szkolnictwa powszechnego po zniszczeniach wojennych oraz uruchomić szkoły na Ziemiach Odzyskanych. I mamy już duże osiągnięcia — w zakresie realizowania powszechności nauczania. W roku obecnym 90 proc. młodzieży w wieku szkolnym znalazło się w ramach szkoły, a więc po trzech latach jesteśmy już na poziomie 1937—38 roku. Podejmowane są coraz to nowe kroki celem objęcia wszystkich dzieci obowiązkiem szkolnym.

Co więcej, nadszedł już czas do podjęcia dzieła naprawy i usuwania **strukturalnych** wad szkolnictwa powszechnego. I to zadanie po raz pierwszy postawiło sobie Ministerstwo Oświaty na rok 1949.

Jakież wady posiada nasze szkolnictwo powszechne i co należy czynić, ażeby je usunąć.

Największą wadą ustrojową dotychczasowego, odziedziczonego szkolnictwa powszechnego jest podział na stopnie organizacyjne, co powodowało wielokrotność kursów programowych i różnorodność programową. Według przedwojennej organizacji szkoła np. o jednym nauczycielu miała klasę trzecią dwuletnią, a czwartą trzyletnią, a każdy z jej kursów miał odrębny program nauczania. Szkoły niżej zorganizowane o jednym, dwu a nawet trzech nauczycielach nie mogły wykonać pełnego programu siedmioklasowej szkoły powszechnej.

Drugą wadą szkolnictwa powszechnego było ich nadmierne przeładowanie, czyli duże obciążenie dziećmi. Wiadomą jest rzeczą, że jeśli nauczyciel ma zbyt liczną klasę, to wobec tego nauka w klasach przeludnionych jest mało wydajna. W klasach przepełnionych wysiłek nauczyciela i ucznia jest często daremny. Przed wojną pod względem ilości przypadającej na nauczyciela młodzieży byliśmy na przedostatnim miejscu w Europie. W Grecji przypadało na jednego nauczyciela 63,9 uczniów, w Polsce 61,7, w Turcji 56,4, w Czechosłowacji 33,3, w Belgii 27,4. A zatem mieliśmy najwyższe w Europie zagęszczenie w szkołach, co obniżało wartość szkoły, a często nawet przekreślało wysiłki nauczyciela.

I wreszcie trzecia kardynalna wada naszej szkoły — to niski wymiar godzin tygodniowej nauki ucznia. Klasa pierwsza w szkole najwyżej zorganizowanej miała 16 godzin nauki tygodniowej, a siódma 30 godzin, na Zachodzie klasa I — 20, najwyższa 28—30, a w szkołach o jednym nauczycielu klasa pierwsza uczyła się zaledwie 11 godzin tygodniowo, w tym nauki głośnej tylko parę razy w tygodniu. Rezultaty takiej nauki były fatalne.

Uczeń po ukończeniu szkoły o 1 i 2 nauczycielach, w dodatku gdy na wsi nie miał ani biblioteki ani czytelni, szybko zapominał nawet nauki czytania i pisania stawał się wtórnym analfabetą. Przy poborze rekrutów w 1937 i 1938 roku stwierdzono w Małopolsce 25 proc. analfabetów spośród absolwentów szkoły niżej zorganizowanej, które przeważały na tym terenie. Szkoły niżej zorganizowane są stałym źródłem odradzania się analfabetyzmu i utrzymują poza tym stan zaniedbania kulturalnego swych środowisk. Walka z analfabetyzmem byłaby nie kończącą się pracą przy dalszym istnieniu szkół nisko zorganizowanych. Wobec tego, że wszystkie te niedomagania wypływają z wad organicznych szkoły powszechnej, należy dążyć do szybkiego ich usunięcia. A więc należy:

a) zmniejszyć do minimum ilość szkół niżej zorganizowanych,

b) zmniejszyć ilość dzieci przypadających na jednego nauczyciela,

c) powiększyć wydatnie ilość godzin tygodniowej nauki dla uczniów klas niższych.

Czy mamy osiągnięcia na tym polu w okresie powojennym? Niewątpliwie tak. Rzućmy kilka liczb na potwierdzenie naszego sądu.

W 1937—38 roku mieliśmy 46,8 proc. szkół o jednym nauczycielu, w roku 1945—46 szkół tych było 39,6 proc. i na tym poziomie utrzymaliśmy się w następnych latach. A zatem odsetek szkół o jednym nauczycielu zmalał o 9,2 proc. Odsetek szkół o dwu nauczycielach przed wojną wynosił 22 proc. i w trzech latach powojennych utrzymał się w granicach 22 proc. Natomiast jeśli chodzi o szkoły realizujące pełny program szkoły siedmioklasowej, a więc szkoły o czterech i więcej nauczycielach, to przed wojną 1937—38 r. mieliśmy ich 20 proc., obecnie mamy 27 proc., sytuacja zatem uległa już poprawie.

Liczba uczniów w szkołach o jednym nauczycielu przed wojną stanowiła 18,8 proc. w roku 1945—46 — 16,2 proc., a w zeszłym roku szkolnym spadła do 13,6 proc.; odsetek uczniów w szkołach o dwóch nauczycielach przed wojną wynosił 16 proc., a w 1945—46 — 16,2 proc., a w roku zeszłym obniżył się do 14,5 proc.; natomiast odsetek uczniów w szkołach najwyżej zorganizowanych wynosił przed wojną 54 proc., obecnie dosięgnął 61.4 proc.

Notujemy takie sukcesy w zakresie odciążenia nauczyciela. W roku 1945—46 w szkołach o jednym nauczycielu przypadało na nauczyciela 68 uczniów, w roku zeszłym spadło ono do 54 uczniów; podobne zjawisko obserwujemy w szkołach innych, wyższych stopni, np. w szkołach o czterech i więcej nauczycielach wynosiło ono w roku zeszłym 37 uczniów. Proces zmniejszania obciążenia nauczyciela jest zjawiskiem dodatnim, świadczy bowiem o stałym podnoszeniu się wartości nauki szkolnej. Rzecz naturalna **jesteśmy dopiero na początku drogi** obniżenia ilości uczniów przypadających na jednego nauczyciela.

Uczyniliśmy duży krok naprzód w dziedzinie realizowania **powszechności** nauczania, czyli obejmowania wszystkich dzieci obowiązkiem szkolnym. W 1945—46 r. mieliśmy w szkołach powszechnych 2.991 tysięcy uczniów, a w roku zeszłym 3.372 tys., czyli liczba uczniów wzrosła o 381 tys.

Liczba etatów nauczycielskich w 1945—46 wynosiła 65.099, na rok 1949 wynosić będzie 81,657, przyrost wynosi ponad 16 tysięcy. Przed wojną ilość etatów nauczycielskich wynosiła 77.693 (1939—40).

Tak znaczny przyrost ilości nauczycieli spowodowany został faktem przyjmowania do pracy szkolnej nauczycieli niekwalifikowanych. W roku zeszłym liczba niekwalifikowanych nauczycieli wynosiła 18.750, co stanowi 22 proc. Odsetek nauczycieli niekwalifikowanych może wydawać się wysoki i powodujący obniżenie poziomu szkoły powszechnej. Jednakże wejście na tę drogę było nie tylko twardą koniecznością, spowodowaną dużym ubytkiem nauczycieli w czasie wojny, oraz odpływem powojennym w drobnej części nauczycieli do innych zawodów. Ale na tę samą drogę weszła Polska po pierwszej wojnie światowej, wtedy odsetek nauczycieli niekwalifikowanych był trzykrotnie wyższy niż obecnie i wynosił aż 75 proc. I po zeszłej wojnie światowej dopiero po 16 latach znikła kategoria nauczycieli niekwalifikowanych. Obecnie tempo dokształcenia nauczycieli niekwalifikowanych jest bardzo szybkie; na specjalnych kursach, trwających w ciągu roku, a głównie w czasie wakacji, kształcą się niemal wszyscy nauczyciele niekwalifikowani. W szybkim tempie uzupełniają oni braki w wykształceniu ogólnym i zawodowo - nauczycielskim. A dobór tych „niekwalifikowanych“ był ze wszech miar trafny i potrzebny. Wśród tych „niekwalifikowanych“, przez powstawanie kadr uspołecznionych, przodowników oświaty, oglądamy analogizmy do klasy robotniczej — jej kadr bohaterów pracy i jej kierowników.

Ponadto czynnych jest 125 liceów pedagogicznych z ponad 30 tysiącami uczniów i one to dostarczają nowych już, kwalifikowanych nauczycieli. W r. 1949 Ministerstwo Oświaty przewiduje, że otrzyma około 7 tysięcy nauczycieli kwalifikowanych. I w tym zakresie posuwamy się nieporównanie szybciej naprzód, aniżeli po pierwszej wojnie światowej. Ostatnio zostało wydatnie podwyższone wynagrodzenie nauczycieli, co wpłynie dodatnio na podniesienie poziomu pracy szkolnej oraz dopływ nowego narybku do zawodu nauczycielskiego.

Przed polityką kulturalną Polski staje ważne, ale bardzo trudne zagadnienie przebudowy struktury szkoły powszechnej, ażeby podnieść jej wartość dydaktyczną i społeczną. W szczególności zainteresowana jest w tym wieś, która miała i ma dotychczas szkołę niżej zorganizowaną. W roku 1949 mamy uczynić duży krok naprzód na drodze naprawy wad i błędów przeszłości.

Roman brainy

T Ł U M A C Z Ę...

Jestem Bellemot — taksówkarz,
kochałem życie i idee
zanim poznałem żony wargi nieludzko piękne.

Poznałem je w Louvrze
w niedzielny poranek,
myślałem o wielkiej sztuce,
którą dziedziczy socjalizm.

Myślałem, że w prywatnej galerii Mona Liza
na twarzy miałaby liszaj,
wokół ust ślicznych jak wiśnia
twarz ciemną wykrzywiałby grymas.

Gdyby te wargi — usta odrodzenia —
Znały
słowo kapitalizm
— własne smaczne wargi wzbudzałyby w dziele sztuki obrzydzenie.

Tam ją poznałem moją żywą—znała wojnę
i ohydę, ale
można było pokochać ją bodaj
za jedną jedyną rzęsę, za jedną wargę.

Poznałem ją. Tłumaczę: nie wchodź więcej do galerii, proszę,
po co biedna piękność
ma dostawać od ciebie po nosie.
jak lada uliczna dziewka.

Dotychczas gdym pełnym gazem woził finansistów
— agentów Marshallowskiej biedy —
widziałem w swoim drżącym liczniku
dzikie skoki giełdy.

Teraz nie widziałem ich wcale,
myślałem: to dla Madelon
wyjeżdżam szalik
— jeszcze licznika skok, jeszcze skok!

Imperializm wił się
miotał
jak bestia zraniona,
— a mój licznik liczył,
gości pędzonych w popłochu
na giełdę i do kościoła

— a mój licznik liczył
kiedy kupię szalik na jej ramiona
śliczne.

Zapomniałem, że cała moja ziemia
wsiadła w zły system gospodarczy,
jak śpieszący się gość w rozklekotaną taksówkę:
motor huczy i warczy,
ale prześcigają go pieszo idący ludzie

— ja wiedziałem to wszystko, ale prawdy były słabe jak motyle,
gdy Madelon
ma takie oczy i miekką dłoń,
to cóż, że wokół jęczy kontynent.

Pojawiła się nędza,
mej Madelon groziły suchoty.
A myślałem, że raczej umrzeć mogą ulice i domy,
niż jej ze mną wypadnie 1 rzęsa.

Madelon zaczęła mi znikać
najpierw w oczach, potem z oczu
ja ją, a mnie nędza śledziła
dzień za dniem i noc za nocą.

Jeszcze trafił się zarobek
— pijany Amerykanin
rwał do Louvru wzdłuż Sekwany i w wodzie
złe błyski zapalałem reflektorami.

Przyjechał wykupić galerię obrazów.
Co mi tam — myślałem,
niechby był jeszcze bardziej pijany;
kupię na jej szyję szalik.

Bo tylko jej ust cień, nosa chrapka
jest dla moich oczu, jak latarnia o zmierzchu,
jeśli to pułapka,
tom szczur, który na zawsze chciałby w niej zamieszać.

Jeśli te usta kłamią,
jeśli to jest kłamstw jaskinia,
to w niej wargom moim
dobrze jak w kinie
na filmie szalenie wesołym.

Potem sprzedałem buty,
piłem wino za ostatniego franka,
ale zaszedłbym boso na biegun w lutym,
by w pysk uderzyć tego franta.

Amerykanin przyjechał kupić Monę Lizę
— kupił moją żonę,
nazwał ją Lizzie!

Pamiętasz mnie, stary,
z czasów, gdyśmy bili,
gdy serca ochłodą były nam pożary
— płonące cysterny faszyzmu.

Pomyśl, pomyśl — zapomniałem,
drobnomieszczanin,
— ale teraz pierwszym strzałem
nie sobie, ale jemu łeb rozwalę.

Jemu — imperializmowi
za nią,
bo skończyłem z błędami
i prywatą.

Za nią — za Francję,
za każdy w niej obraz i drzewko.
a na ostatku dopiero i za to,
że kazał Jej być dziewką.

Henri Claude

Na obecnym etapie planu Marshalla *)

Artykuł, którego fragment końcowy poniżej publikujemy, został napisany dla „Cahiers du Communisme" — luty 1949 r. — przez autora cennej książki na temat planu Marshalla, znanego publicystę francuskiego, Henri Claude.

Początek artykułu reasumuje jednoroczną historię planu amerykańskiej ekspansji imperialistycznej, noszącą nazwę planu Marshalla. „Proponując 5 czerwca 1947 r. stworzenie planu pomocy Europie — pisze H. Claude — kierownicy imperialistyczni z Waszyngtonu stawiali sobie dwa cele do osiągnięcia: utrzymać w Stanach Zjednoczonych aktywność gospodarczą na wysokim poziomie i powstrzymać wzrost sił demokratycznych w Europie. Oznaczało to przede wszystkim interwencję w sprawy polityki i gospodarki europejskiej:

1) utrzymać na Zachodzie rządy reakcyjne, wywrzeć na Wschód presję dyplomatyczną, ekonomiczną i polityczną, starać się wciągnać państwa nowej demokracji w sferę imperializmu, a odizolować Związek Radziecki;

2) ujarzmić, przy pomocy „poparcia" udzielonego klasom rządzącym, państwa Europy w ten sposób, by zmusić te do wyrzeczenia się ich niepodległości politycznej i ekonomicznej oraz skłonić je do stworzenia „federacji" opanowanej przez Wall-Street, w której kapitały amerykańskie znalazłyby rynek zbytu oraz sferę inwestycyjną, odpowiadającą monopolistycznym potrzebom, a której waluta ustalona byłaby w stosunku do dolara.

Ta interwencja w sprawy europejskie oznaczała, że imperializm amerykański stawia na kartę niemiecką, że uczyni z zagłębia Ruhry centrum „odbudowy" gospodarczej Europy i przemieni Niemcy Zachodnie w bazę wypadową przeciwko krajom demokracji ludowej i Związkowi Radzieckiemu".

Przypominając powszechnie już znane fakty, Henri Claude omawia założenia strategii marshallowskiej, przebieg starcia oraz wielokrotne niepowodzenia planu w okresie pierwszego roku jego realizacji. Można by je ująć w następujące punkty: 1) groźby wojny prewencyjnej z zastosowaniem bomby atomowej nie dały jakichkolwiek wyników, 2) kraje demokracji ludowej nie dały się złapać na złoty haczyk dolara, 3) interwencja w Grecji nie przyniosła spodziewanych rezultatów, 4) znaczna część społeczeństwa francuskiego dzięki skutecznej akcji partii komunistycznej odniosła się sceptycznie i pesymistycznie do planów imperializmu amerykańskiego, 5) różnice interesów, które zarysowały się między Ameryką a krajami kapitalistycznymi (odmowa Szwajcarii podpisania umowy dwustronnej) oraz antagonizm między imperializmem angielskim i amerykańskim stały się przeszkodą w gospodarczej unifikacji Europy Zachodniej w pierwszym roku planu, 6) kryzys ekonomiczny w Europie nadszedł wcześniej, niż spodziewali się tego w Waszyngtonie, 7) plan Marshalla nie był w stanie zapewnić dobrobytu Stanom Zjednoczonym, 8) zwycięstwo Mao-Tse Tunga zadało straszliwy cios planowi Marshalla na odcinku eksploatacji kolonialnej, wreszcie 9) hasło rzucone przez Komunistyczną Partię Francji: „Lud Francji nigdy nie będzie prowadził wojny ze Związkiem Radzieckim" utrudnia imperialistom amerykańskim, mimo stworzenia europejskiego sztabu generalnego, mimo podpisania paktu brukselskiego, zorganizowanie armii, która chciałaby się bić za ich inte...

Red.

1. POGŁĘBIENIE SIĘ SPRZECZNOŚCI

Do całej serii niepowodzeń planu Marshalla przyłącza się rozwianie złudzeń na temat potęgi i „wspaniałomyślności" Stanów Zjednoczonych, pogłębienie kryzysu w systemie kolonialnym na Dalekim Wschodzie i początek kryzysu ekonomicznego w Europie.

Organizacja Współpracy Gospodarczej (O. E. C. E.) okazuje się niezdolną przedstawić wspólny program produkcji dla Europy. Ponieważ programy poszczególnych państw pozostają ze sobą w sprzeczności, O. E. C. E. zrezygnowała z prób „harmonizowania" ich i wysłała do Waszyngtonu „przejściowy" raport, rezygnując ze „zharmonizowania" programów według zaleceń Kongresu.

Niepowodzenie O. E. C. E. ujawniło jaskrawą sprzeczność istniejącą między celami, do jakich rzekomo zdąża Departament Stanu (równowaga bilansów handlowych i stabilizacja waluty), a jego rzeczywistą polityką. Stany Zjednoczone domagając się od państw europejskich zrównoważenia ich bilansu handlowego, sprzedają im jednocześnie znacznie więcej niż od nich kupują. Nie ma więc mowy o jakiejkolwiek równowadze.

Zmarshallizowanym krajom europejskim pozostaje jedno tylko wyjście: kupować możliwie najmniej w Stanach Zjednoczonych. Cel ten stawia sobie przede wszystkim angielski plan czteroletni. Anglia stara się odzyskać równowagę handlową kosztem innych państw europejskich, co oczywiście jeszcze bardziej pogarsza trudności ekonomiczne tych ostatnich. Przed wojną kraje kontynentu zdobywały surowce w dominiach brytyjskich ponieważ miały z Anglią bilans handlowy charakteryzujący się nadwyżką. Obecnie jest to niemożliwe. Plan brytyjski wywołuje więc protesty Belgii i Francji, które pozbawione dolarów przez politykę amerykańska widzą się obecnie pozbawione funtów sterlingów

Polityka amerykańska oraz dodatkowo polityka angielska stawia kraje Europy zachodniej przed problemem: ograniczyć import lub zwrócić się do sektora socjalistycznego. Jasnym jest, że monopole amerykanskie są przerażone tymi perspektywami. Potępiają więc politykę „bezwzględności" Cripsa *) i widzą jedynie następujące wyjście z sytuacji: deficyt pownien trwać nadal, a Europa powinna przyjmować ich kredyty. 7 stycznia br. „New York Herald Tribune" przyniosła oświadczenie Harrimana, według którego „Europejski Program Odbudowy (E. R. P.) nigdy nie był rozumiany jako środek zapewnienia bilansowej równowagi płatności w Europie po 1952 roku". A. J. J. Servan-Schreiber pisze na ten temat w „Le Monde": „Prawdę mówiąc przeznaczeniem planu Marshalla nie jest osiągnięcie konkretnych rezultatów, lecz jedynie pozostawanie niezbędnym" („de demeurer nécessaire").

Tak, pozostawanie „niezbędnym", aby Waszyngton w dalszym ciągu mógł trzymać w ryzach kraje „korzystające z łask". Według „Wall-Street Journal" z 28 stycznia 1949 r. rząd amerykański zdecydował się na permanentną pomoc zagraniczną". Oto do czego nie odważono przyznać się rok temu! Jeszcze brakuje tylko tego, by „kraje korzystając z łask" mogły bez końca połykać amerykańskie nadwyżki! Zrzucając własny kryzys na Europę kapitalizm amerykański wyczerpał możliwości kompromisu między konkurencyjną produkcją Ameryki i Europy, umożliwionego przez zniszczenia i nędzę, które spowodowała wojna. Z chwilą gdy „nadprodukcja" dotknęła kapitalistyczne państwa Europy zachodniej, gospodarka tych krajów nie może już wchłonąć w siebie produktów amerykańskich bez groźby katastrofy.

Tak więc razem z kryzysem gospodarczym w Europie rozpoczyna się kryzys planu Marshalla.

Innym aspektem tego kryzysu jest konieczność postawienia w pierwszym rzędzie i to zupełnie otwarcie wojskowych projektów autorów planu oraz zdublowanie ich programu rzekomej pomocy gospodarczej przez zakrojony na wielką skalę program zbrojeniowy. Minister Obrony Narodowej USA, Forrestal oświadczył przecież 29 grudnia 1948 r., że pomoc wojskowa Stanów Zjednoczonych dla marshallowskiej Europy jest dowodem, iż mają one „zamiar doprowadzenia do końca środków stosowanych przez program europejskiej odbudowy".

Staje się więc coraz bardziej wyraźne, że od 1947 roku jedyną więzią koalicji marshallowskiej jest jej nastawienie antyradzieckie i nienawiść klasowa. Administrator E. C. A. Hoffman wie o tym dobrze, i dlatego w swej mowie z 12 stycznia na temat planu Marshalla w Detroit ział nienawiścią przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Te same myśli znajdujemy w mowie Trumana z 20 stycznia. Lecz czyż więzy te nie zostały już zerwane przez sam fakt sprzeczności w obozie imperialistycznym?

2. ANTAGONIZMY INTERIMPERIALISTYCZNE, ROZWÓJ DEMOKRACJI I SOCJALIZMU

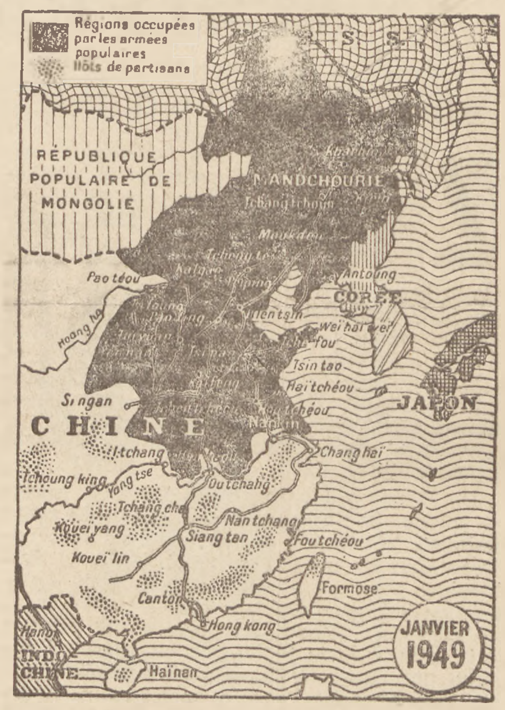
Należy stwierdzić, że po upływie jednego roku żadna ze sprzeczności powstałych w związku z zastosowaniem planu, a wymienionych przez nas na początku tego artykułu nie tylko nie została zniesiona ale przeciwnie, wszystkie sprzeczności uległy zaostrzeniu. Rozwój Związku Radzieckiego i demokracji ludowych zwęża bazę imperializmu, a mobilizuje siły demokratyczne całego świata. Porównanie między sektorem socjalistycznym i sektorem kapitalistycznym w ekonomii światowej wykazuje coraz bardziej wyraźnie przewagę tego pierwszego. Podczas gdy utrwala się sukces czwartej pięciolatki—próby „planowania" ekonomii europejskiej ośmieszają się coraz bardziej. Gdy Francja i Belgia zmuszone są zawiesić swoje transakcje handlowe w następstwie zachwiania równowagi swojej wymiany handlowej, Związek Radziecki zawiera w grudniu i styczniu szereg traktatów z Włochami, Czechosłowacją, Finlandią, Norwegią i Polską, które przewidują ożywioną wymianę handlową na płaszczyźnie równości i bez żadnych zobowiązań politycznych

Stworzenie Rady Wzajemnej Pomocy między Związkiem Radzieckim a demokracjami ludowymi, otwartej dla **wszystkich krajów w Europie, które przyjmą jej zasady**, stanowi nowy krok naprzód i jest wielkim sukcesem radzieckiej polityki w kierunku szerokiej współpracy ekonomicznej.

Aktywność ekonomiczna w sektorze socjalistycznym stale wzrasta, podczas gdy chyli się do upadku w sektorze kapitalistycznym. A najważniejsze jest to, że kontrast między dwoma światami przybiera taki charakter, iż znaczenie jego nie może już umknąć uwagi wielkich mas krajów kapitalistycznych Brak powiązania, chaos, nędza i zacofanie z jednej strony, stabilizacja, porządek i postęp z drugiej.

Pod tym względem sytuacja jest całkowicie różna od sytuacji z roku 1929. Związek Radziecki rozpoczynał wtedy budowę socjalizmu. Propaganda imperialistyczna mogła wówczas twierdzić, że owa „bezmyślna" próba skazana jest na niepowodzenie. Obecnie można osądzić obydwa systemy **w ich funkcjonowaniu.** Powaga sytuacji nie uchodzi uwadze amerykańskich polityków: „Unikniemy błędu — oświadczył Hoffman 12.I.49 r.— jeśli nie pozwolimy na załamanie się wewnętrzne naszej gospodarki..."

Na nieszczęście dla administratora E. C. A., by uniknąć tego „błędu", kapitalizm musiałby usunąć samego siebie.



Mapka sytuacji wojennej w Chinach w styczniu 1949 r. Czarne miejsca — obszar wyzwolony przez armię ludową, zakropkowane — tereny objęte działaniami partyzantów

Zwycięstwo Mao-Tse-Tunga nie są jedynie nową kartą historii Chin. Jest to również nowa karta historii ludów na Dalekim Wschodzie oraz we wszystkich krajach kolonialnych. Oznacza ona, że kryzys systemu kolonialnego wkracza w swą fazę końcową, że jest to już początek końca. Skoro mocarstwa kolonialne nie były dotychczas w stanie zgnieść ruchu wolnościowego w Indonezji, Viet-Namie, Birmie, po wspaniałym przykładzie, jaki dały Chiny, nie będą one mogły zatrzymać fali, która wzrasta i która je zmiecie. Dziennikarze reakcyjni są zmuszeni przyjąć tę możliwość. „Dwa odwieczne bieguny przyciągania — mówi J. J. Servan — Schreiber — Japonia i Chiny znajdują się obecnie w dwóch przeciwnych obozach i z obu stron czynione są wysiłki, aby powiększyć ich wpływ. Czyż nie jest jasne, że w tej konkurencji wojowniczego pokoju, podbita, okupowana, organizowana przez zawsze znienawidzonych ludzi Zachodu Japonia jest lekceważona w sposób nie dający się naprawić w zestawieniu z Chinami, które staną się wkrótce niejako symbolem zwycięskiej walki o wolność, dając przykład narodowego wysiłku w akcji odrodzenia"

W pozostałych krajach Azji walka o niepodległość wzniesie się na wyższy poziom, gdyż najbardziej reakcyjna część tubylczej burżuazji zmuszona jest do otwartej współpracy z obcym imperializmem i do zdemaskowania samej siebie, jeśli chce zachować swoją pozycję klasy panującej. „Wahania" Bao-Dai'a wobec powrotu do Viet-Namu dowodzą, że nie ma on złudzeń, co do ostatecznego wyniku walki.

Zamknięcie takiej sfery ekspansji kapitalizmu, jaką były Chiny, pociąga za sobą jako natychmiastowe następstwo rozwój sektora

*) „Cahiers du communisme" nr 2 — luty, 1949.

*) Angielski minister, kierownik gospodarki brytyjskiej.

demokratycznego oraz zwężenie światowych rynków zbytu w następstwie kryzysu. Wszystko to pogłębia antagonizm między grupami imperialistycznymi, zmniejszając istniejące dotychczas możliwości kompromisu.

Wyeliminowane z Chin monopole amerykańskie wycofują się do Japonii, Indonezji, Indii, wzmacniając w ten sposób presję na terytoria kontrolowane przez władców kolonialnych francuskich, holenderskich i angielskich.

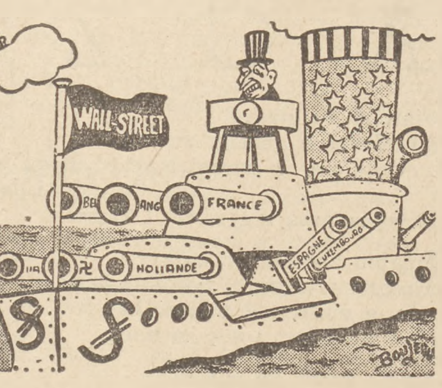
Przewidywania te należy wysnuć z „czwartego punktu“ programu, zdefiniowanego przez Trumana w jego mowie po wyborze na prezydenta: „Powinniśmy zachęcać do inwestycji kapitałów w krajach, które odczuwają potrzebę rozwoju“.

Antagonizm anglo-amerykański zaostrzy się przede wszystkim na Bliskim i Dalekim Wschodzie oraz w Europie w następstwie wejścia „w szranki“ przemysłu niemieckiego i japońskiego pod kontrolą amerykańską. Bardzo charakterystyczny jest konflikt, który już teraz zarysowuje się między angielskim przemysłem tekstylnym a polityką amerykańską. 5 stycznia 1949 przewodniczący brytyjskiego biura przemysłu wełnianego udał się do Stanów Zjednoczonych, „aby przeprowadzić rozmowy z rzeczoznawcami amerykańskimi na temat bezpośredniej groźby, jaką przedstawia dla przemysłu brytyjskiego wzrastająca konkurencja przemysłu japońskiego“.

10 stycznia Williams, dyrektor sekcji tekstylnej amerykańskiej administracji okupacyjnej w Japonii oświadczył w Tokio: „Nie bierzemy w ogóle pod uwagę zastrzeżeń producentów angielskich“.

Jest to dopiero początek, gdyż we wszystkich częściach świata kapitalistycznego walka o rynki zbytu i surowce przybierać będzie coraz bardziej na sile.

Towarzystwa amerykańskie będą walczyły coraz ostrzej o odebranie swym europejskim kolegom stale zmniejszającej się dotychczasowej ich klienteli. I tak np. amerykańskie towarzystwa żeglugowe dążą do pokrzyżowania prób zredukowania ich monopolu, jeśli chodzi o eksport produktów E. R. P.



Pakt Atlantycki

Karykatura z „France Neuvelle“

Zachwianie równowagi bilansów handlowych krajów europejskich powiększa się więc stale, podobnie jak i trudności kapitalistów europejskich. Wzrasta chaos, gdyż każdy ciągnie do siebie, co tylko może. Cel, którego imperializm amerykański nie mógł osiągnąć w Europie — unia gospodarcza i federacja polityczna — staje się coraz to bardziej trudny do urzeczywistnienia.

Równolegle do tego zaostrza się walka klas. W każdym kraju wielki kapitał, chcąc wyrównać posiadającym klasom cenę kryzysu, który nadchodzi i wojny, którą przygotowuje, jest obecnie zmuszony uderzyć w klasy pośrednie, a zwłaszcza chłopów, wzmacniając eksploatację robotników.

Podczas gdy ceny na produkty rolne spadają, wzrastają ceny przemysłowe. W Stanach Zjednoczonych produkty rolnicze spadły ze wskaźnika 196,4 w dniu 20.XII 1947 r na wskaźnik 174 z dnia 18 XII 1948 roku, podczas gdy inne produkty podniosły się ze ... na 153,1. We Francji ceny pewnych produktów rolniczych załamują się. W produkcji oficjalny wskaźnik cen przemysłowych przechodzi z 853 w październiku 1947 roku na 2115 w grudniu 1948 r. Wzmocnienie pozycji obozu demokratycznego, wzrastające trudności gospodarcze, pogorszenie nędzy mas — oto perspektywy, jakie otwierają się przed kapitalizmem europejskim. Kierownictwo planu Marshalla zdaje sobie z tego sprawę.

Całkowite rozerwanie systemów gospodarczych Europy oraz szereg kryzysów politycznych i ekonomicznych będzie miało miejsce, jeśli obliczone na długi termin programy krajów O. E. C. E, zostaną takimi, jakimi są obecnie — oświadczył ostatnio sekretarz generalny O. E. C. E. Marjolin. Nie od pana Marjolin zależy jednak zmiana tych programów!

Redaktor amerykańskich dzienników trustu Scripps Howard po stwierdzeniu że: „narody planu Marshalla są podzielone między sobą nie tylko, jeśli chodzi o wysiłki, jakich każdy z nich powinien dokonać, lecz różnice te istnieją również w łonie każdego narodu“. konkluduje: „o ile Europejczycy nie zrozumieją całkowicie, że plan Marshalla jest szerokim planem międzynarodowym z punktu widzenia pomocy bezpośredniej i wzajemnej, wynikiem jego będzie niepowodzenie“.

Istotnie, wynikiem planu Marshalla **będzie niepowodzenie!**

* * *

Zwycięstwa armii demokratycznej w Chinach, sukcesy gospodarcze Związku Radzieckiego i demokracji ludowych, wzmocnienie sektora socjalistycznego i antyimperialistycznego, **początek kryzysu ekonomicznego w krajach kapitalistycznych** są znakiem wyraźnego osłabienia sił wojennych i pozycji imperialistycnych.

Lecz jeśli imperialiści nie mieli dotychczas możności wywołania wojny, kontynuują oni mimo to swoją agresywną politykę antyradziecką i starają się znaleźć rozwiązanie sprzeczności w planach zawładnięcia całym światem przy pomocy polityki gwałtu, awantury i wojny.

Akcja sił pokoju powinna się więc obecnie uintensywnić. Obecna sytuacja charakteryzuje się olbrzymim przesunięciem sił na korzyść obozu demokratycznego. Następstwo zdarzeń potwierdza również „szybki, jeśli nie przyśpieszony rozkład“ systemu imperialistycznego, który wskazywaliśmy od chwili przygotowania i rozpracowania planu Marshalla (Henri Claude: „Plan Marshall“, Ed. Sociales).

Błąd, którego musimy obecnie uniknąć, to uleganie zarozumialstwu i poddawanie się przekonaniu, że w następstwie tych sukcesów wszystko „ułoży się samo przez się“. Jeśli obecna sytuacja przedstawia się lepiej, zawdzięczać to należy **siłom postępu na całym świecie.** W obecnej chwili nie należy zwalniać naszej akcji lecz raczej **ją wzmacniać,** gdyż zasadniczym zagadnieniem jest przekształcenie zmian zaszłych na naszą korzyść w taki układ stosunków, który umożliwiłby całkowite zwycięstwo nad imperializmem.

Henri Claude



Karykatura z „France Neuvelle“

Michał Rękas

Warunki na „chłopski radykalizm” (I)

(artykuł dyskusyjny)

WSTĘP — POJĘCIE „RADYKALIZMU CHŁOPSKIEGO“

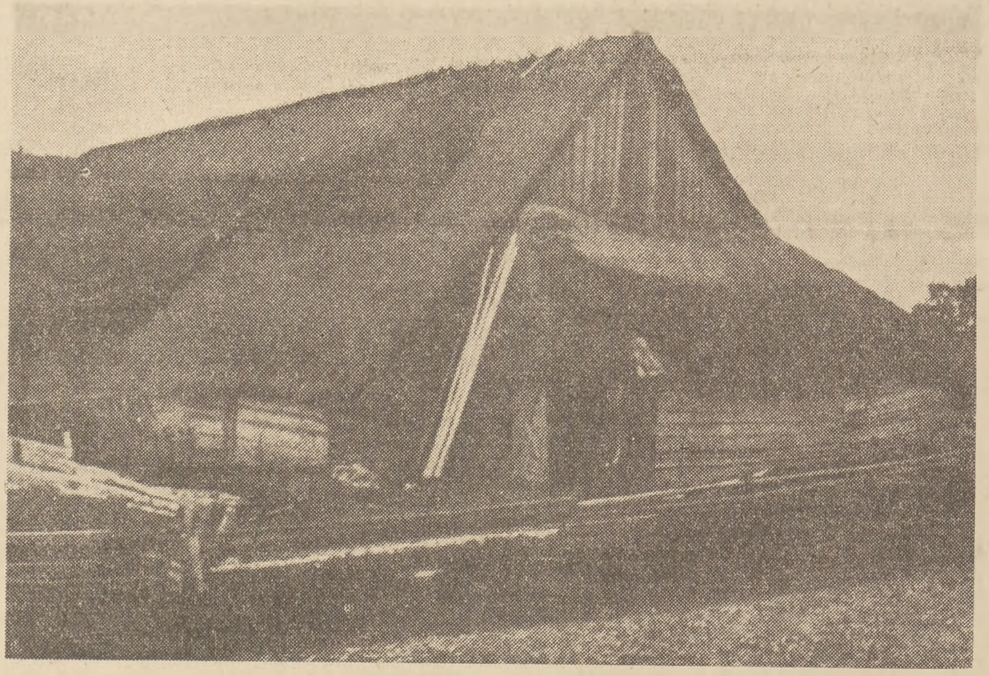
Z wielkim ożywieniem odbywają się wspólne zjazdy i konferencje zjednoczeniowe SL i PSL na wszystkich poziomach organizacyjnych. Masy chłopskie zostały tą doniosłą sprawą do głębi poruszone i powszechnie zainteresowane, co nie pozostaje bez odpowiedniego wpływu na postawę delegatów, biorących udział w konferencjach powiatowych i wojewódzkich, na których rozwijają się ważkie i twórcze masowe dyskusje, jakkolwiek obfitujące również w cały szereg nieporozumień, sporów i „przejęzyczeń się“ w sprawach zasadniczych zagadnień ideowo-programowych.

Do takich wieloznacznych określeń należy — między wielu innymi — i **„chłopski radykalizm“.** Wyrażenie to powtarza się dziś powszechnie w prasie, w referatach, w dyskusjach i w rozmowach codziennych, nierzadko jednak obarczone dziedzictwem całego półwiecza ruchu ludowego, skrzy się bogatą gamą różnic treści znaczeniowych i reakcji uczuciowych. Typowy to wytwór historii półwiekowego ruchu społeczno-politycznego, a w historii dzieją się rzeczy dobre i złe obok siebie, ścierają się ze sobą prądy postępowe i wsteczne, wywierają swój przemożny wpływ na kształtowanie się pojęć i ich treści, na urabianie się światopoglądu, i te wszelkie zmienne i nieraz sprzeczne procesy zamykamy w jakimś określeniu, jak np. wymieniony „chłopski radykalizm“, nie licząc się w poszczególnym wypadku jego używania w mowie czy piśmie z całym tym historyczno-społecznym obciążeniem.

Co do pozytywnej, konstruktywnej treści „chłopskiego radykalizmu“, to należałoby niewątpliwie napisać wyczerpującą rozprawę, aby raz ostatecznie ściśle ustalić współczesny jednoznaczny zakres tego zwrotu tak, by posługujący się nim ludzie wiedzieli dokładnie o co chodzi i by mogli rozporządzać wyraźnymi sprawdzianami, kiedy użycie tego zwrotu jest niewłaściwe. Jest to sprawa niezmiernie ważna i aktualna chociażby tylko z tego względu, że właśnie „chłopski radykalizm“ bierze się za podstawę ideową zjednoczenia ruchu ludowego na odcinku politycznym. Sprawa ważna i pilna, ale równocześnie niełatwa. Jej właściwe rozwiązanie należałoby przeprowadzić w pracy zespołowej.

Toteż w niniejszych rozważaniach ograniczę się do bardziej specjalnego momentu, a mianowicie do omówienia tych błędnych haseł i poglądów, pod których natarciem kształtował się i narastał „chłopski radykalizm“ i który dzięki tym błędom doznał całego szeregu zasadniczych odchyleń od swej właściwej treści, przy czym odchylenia te mają jeszcze i dziś swój żywy wydźwięk u wielu ludzi, zaliczających się z różnych względów, czy to zasadniczych czy koniunkturalnych do „chłopskich radykałów“.

Błędne hasła i błędne poglądy przedostawały się do ruchu ludowego z zewnątrz, były narzucane przez pewne nieprzyjazne sytuacje dziejowe, lub też świadomie przez wrogie obozy polityczne, by sprowadzić ruch ludowy na takie szlaki rozwojowe, których ostatecznym wynikiem byłoby pomniejszenie znaczenia politycznego chłopów, a zagwarantowanie dominującej roli dla klas posiadających. Haseł tego rodzaju było bardzo dużo,



„Pobudynki gospodarskie“

do najważniejszych zaś zaliczam następujące:

1. Fikcja „wsi jednolitej“,
2. Fikcja „chłopskiej potęgi“,
3. Fikcja społecznego ewolucjonizmu,
4. Fikcje agrarystyczne,
5. Fikcja „chłopskiego idealizmu“.

Ideologia chłopskiego radykalizmu społeczno - politycznego kształtowała się w określonych warunkach historycznego rozwoju wsi polskiej i w tych również warunkach oddziaływały na nią błędne hasła, które nazwałem „fikcjami“, ponieważ treść ich nie odpowiadała faktycznej rzeczywistości dziejowej, a posługiwano się nimi właśnie dla zamaskowania i zatarcia właściwego obrazu tej chłopskiej rzeczywistości i dla zrealizowania celów politycznych obcych klasowym interesom chłopów pracujących.

Są dwa okresy historyczne ruchu ludowego, do których sięgamy po materiał dowodowy, ilekroć zachodzi potrzeba wyjaśnienia spraw, dotyczących chłopskiego radykalizmu, w których właśnie wykuwała się zarówno właściwa jak i niewłaściwa jego treść; są to: 1) okres kształtowania się klasowej świadomości chłopów do I wojny światowej i 2) okres międzywojenny, w latach 1919—1939, kiedy to ruch ludowy przeszedł wielokierunkową ewolucję polityczną, dorobił się nowego zapasu własnych doświadczeń, zdobywając z jednej strony pewne pozytywne osiągnięcia, a z drugiej — popełniając wiele kapitalnych błędów, mszczących się niemiłosiernie na losach całej warstwy chłopskiej, a szczególnie na jej najliczniejszych i najbardziej zapoznanych masach chłopów biednych, drobno- i średniorolnych

POŁOŻENIE WSI PRZED I WOJNA ŚWIATOWĄ I W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM

Wieś polska po uwłaszczeniach znalazła się w sytuacji dla siebie z wielu względów niekorzystnej, szczególnie jeżeli chodzi o Galicję i Królestwo Kongresowe, gdzie rządy zaborcze poprzez akty uwłaszczeniowe realizowały własne postulaty polityczne i prawem zatwierdziły tradycyjny ustrój rolny z wszelkimi jego przywarami. Nie dokonano oczywiście zniesienia szlacheckich folwarków ani scalenia, ani też nie zlikwidowano serwitutów, bezrolnym chałupnikom i wyrobnikom nie zapewniono żadnych uregulowanych warunków bytowania, robotników folwarcznych pozostawiono na łasce kapitalistycznego wyzysku prywatnych posiadaczy.

Pod koniec wieku XIX zaznacza się szybki przyrost ludności a stosunkowo słaby postęp w gospodarce rolnej, zwłaszcza w gospodarce drobnorolnej. Ludności wiejskiej robi się coraz ciaśniej i coraz tłumniej narasta biedota wiejska. Rozwarstwianie wsi szybko postępuje naprzód w drodze rodzinnych działów. Ilustruje to zjawisko następujący przykład, przytoczony przez „Zaranie“ w 1912 r. (nr 45):

nazwa wsi	ilość gosp. w 1864 r.	w 1910 r.
Borów	15	38
Budzyń	12	27
Jeżów	7	14
Huta	11	31
Kopiennik	11	24
Ratoszyn	110	189
Radlin	27	64

Prawo nie dopuszczało wprawdzie podziału poniżej 12 mórg, a jednak we wszystkich wymienionych wsiach już w tym czasie było 48 gospodarstw poniżej 6 mórg, pochodzących z pozaprawnych działów. Proces ten miał jeszcze gwałtowniejszy przebieg w Galicji i bardziej opłakane skutki społeczno-gospodarcze

W Królestwie Kongresowym ukaz carski z 1864 r. nadał chłopom ziemię, na której powstało 592.817 gospodarstw o ogólnej powierzchni 7.856 140 mórg. Do r. 1904 powiększył się stan posiadania ziemi o 10 proc. (410 tys. mórg) lecz jednocześnie zwiększyła się ilość osad o 30 proc. i doszła do 778.445 gospodarstw, skutkiem czego osada chłopska zmniejszyła się przeciętnie o 18 proc. W r. 1877 osada chłopska wynosiła przeciętnie 14 mórg, a w roku 1904 wskaźnik ten dochodzi do 11 mórg. W ilości 778.445 gospodarstw z 1904 r. znaczna większość, bo 401.624, nie dochodziła do 10 mórg obszaru, a więc rozwój stosunków agrarnych w szybkim tempie zmierzał do pomnożenia grupy chłopów małorolnych i gospodarstw karłowatych.

W r. 1910 stan rozwarstwienia wsi w jej podstawowych elemencie, tzn. w zakresie posiadania ziemi przedstawiał się następująco we wszystkich trzech głównych dzielnicach zaborczych:

dzielnica	gospod. ponad 10 mórg	gospod. poniżej 10 mórg	gospod. karłowate
Król. Kongr.	390.000	620.000	120.000
Galicja	300.000	800.000	426 000
Poznańskie	54.000	130.000	126.000

Szybko więc narósł „proletariat wiejski“, który za byle co sprzedawał siłę roboczą swoim i obcym, bo przy udoskonalonym systemie gospodarowania, jaki w tym czasie stosowano już w krajach zachodniej Europy, na wyżywienie chłopskiej rodziny, zadawalającej się byle czym, wystarczyłaby działka 3.5-morgowa, lecz przy naszej ówczesnej gospodarce chłopskiej, prymitywnej i zaniedbanej chłop nawet i 10-morgowy cierpiał nędzę. Chłopi małorolni, na gospodarstwach karłowatych i bezrolni stanowili olbrzymią armię emigrantów i obieżysasów, którzy bez żadnej zorganizowanej opieki wędrowali za nędznym kawałkiem chleba po całym świecie. Stan proletariatu wiejskiego przedstawiał się następująco w liczbach zaokraglonych w r. 1910:

500.000 rodzin bezrolnych	2.500.000 osób,
740.000 rodzin małorolnych	3.700.000 osób;
500.000 rodzin forn. i wyrob.	2.500.000 osób.

Na ogólną liczbę Polaków na całym świecie, którą w tym czasie szacowano na 22 miliony, samego „proletariatu wiejskiego“ było 8.700.000 osób.

Ta olbrzymia armia nędzarzy zaludniła kraje zamorskie w liczbie 3 milionów, oraz corocznie dostarczała krajom europejskim milion źle opłacanych robotników rolnych. Pozostałych wykorzystywały gospodarstwa folwarczne, których na terenie wszystkich dzielnic było w tym czasie ok. 17.000 i chłopi, posiadający gospodarstwa wielkokmiece. (Dane liczbowe przytoczone wg Jana Grabca: „Polska w cyfrach i faktach“).

W Galicji zbiedniali chłopi ratowali się prywatnymi pożyczkami, których oprocentowanie dochodziło do 250 proc., stąd masowym zjawiskiem stały się powszechne licytacje drobnych osad chłopskich za długi. W r. 1873 było licytacji 614, w 1881 liczba ich wzrosła do 3.240, w latach zaś 1885-89 odbyło się ich 13.270, a wśród nich licytacje gospodarstw za dług wynoszący 5 koron. Największa ilość licytacji, bo 6.512 przypadła za długi w granicach 100 do 500 koron.

Na takim podłożu ekonomicznym szerzyła się nie tylko nędza, ale i powszechna ciemnota, połączona z wiarą w gusła, zabobony, czary, cuda i wróżbitów, a więc cały arsenał spóźnionego średniowiecza, popieranego przez kler i „starszą brać szlachecką“. Pisma lu-

POLEMIKI

Jerzy Cios

Krok w przód i krok w tył

Referat zjazdowy Stefana Żółkiewskiego, opublikowany później w „Kuźnicy", wywołuje nieco spóźnione, choć obfite pogłosy na łamach prasy katolickiej. Charakterystyczną cechą tych wszystkich nieco spóźnionych replik była zmiana tonu, ściszenie napastliwych akcentów. Najwyraźniej



znać to chyba na bardzo interesującym artykule Nika Roztworowskiego, opublikowanym w jednym z ostatnich numerów „Dziś i Jutro".

Chodzi mi tu o „Katolików w Szczecinie". Jak bardzo różni się ta wypowiedź od tak niedawnych jeszcze wystąpień pisarzy katolickich. O ileż mniej tu programowych ongiś wypowiedzi o niemożliwości (rzekomej, rzecz prosta) współdziałania praktycznego między reprezentantami ideologii marksistowsko-leninowskiej a przedstawicielami filozofii katolickiej, o ileż słabiej mówi się tu o rozbieżności ontologicznej, o ileż wyraźniej wskazuje się na jakieś miejsca wspólne, ułatwiające porozumienie.

Roztworowski napomyka bez przerwy prawie o wspólnym, negatywnym stosunku do egzystencjalizmu, o obustronnej obronie realizmu ideologicznego, protestując jednak przeciw konieczności „przewartościowania światopoglądowego" wśród pisarzy katolickich. Ale widzi mimo to możliwości „symbiozy", którą niestety traktuje w sposób nadal mglisty. Jako nieunikniony warunek zaistnienia takowej widzi we „wzięciu pod uwagę tych konieczności, które wynikają z konkretnych potrzeb odbudowującego się kraju" oraz placet „oficjalnej" krytyki na ukazywanie rzeczywistości zgodnie z wyznawanym przez twórców katolickich światopoglądem. Czekamy z niebywałym zainteresowaniem na dzieła, mające spełniać podobne wymogi. Może wyjaśnią one nam nareszcie, co Roztworowski rozumie przez owe tajemnicze konieczności, wynikające z procesu odbudowy. Na razie nie wiemy. Termin ten bowiem może być rozumiany wieloznacznie, a o precyzję jego właściwego sensu nikt się nie stara po stronie katolickiej.

W wyniku tych zapewnień jedno tylko wydaje się pewne. To odgrodzenie się od współczesnych osiągnięć artystycznych wielu pisarzy, skupionych dokoła „Dziś i Jutro" oraz dokoła „Tygodnika Powszechnego", wyrzeczenie się ich dotychczasowej funkcji społecznej. Tym razem ani „Noc Huberta" Zawiejskiego, ani „Zbrodnia w dzielnicy północnej" Kisielewskiego nie będą już cytowane jako książki wskazujące na pewną linię, po której należy pójść wszystkim wiernym. Czy jednak na pewno tak się stanie? Niepokój nasz mimo licznych zapowiedzi nie zostaje rozwiany.

W piątym numerze „Dziś i Jutro" Jan Dobraczyński zachwyca się Leonem Bloy. Całkiem niedawno na łamach „Tygodnika Powszechnego" komentowane obficie „The Power and the Glory" Graham Greene'a oraz „Terre des hommes" Antoine de Saint - Exupery'ego. Oceny obu książek były bezwzględnie pozytywne. „Znak" przynosi entuzjastyczne podsumowanie twórczości Tomasa Stearns Eliot. Przykładów takich można by podać dużo więcej. Przytaczam najbliższe, a zarazem najbardziej rażące. O cóż mi jednak chodzi? Sprawa nie jest zawiła. Pomiędzy artykułami, usiłującymi sprecyzować pewne zadania, stojące przed pisarzami, a pomiędzy prowadzoną na „drugim planie" polityką kulturalną tych samych periodyków, które publikują „Wolność a rewolucja" Micewskiego czy „Katolików w Szczecinie" zachodzi wyraźna sprzeczność. Lansowany jest bowiem w poszczególnych recenzjach i podawany jako wzorzec ten typ prozy, który nie może być w żadnym wypadku wskaźnikiem dla pisarzy kraju demokracji ludowej, zdążającego ku socjalizmowi. Przecież jako przykładu nie poda się działalności Leona Bloy, wielbiciela Carlyle'a, reprezentanta wstecznych tendencji, twórcy pełnego sprzeczności, zabłąkanego w dobie początków imperializmu. Przecież doświadczenie Grahama Greene'a, związanego z kunsztem pisarskim Bernanosa, a nawet i Kafki nie posłuży młodym polskim prozaikom, nie stanie się dla nich właściwą szkołą. A oto gdzie indziej Maria Winowska zaleca Claudela, „teologa we fraku", tego samego Claudela, który odegrał wprawdzie wielką rolę w całej współczesnej poezji, ale który występował w swych poematach niedwuznacznie przeciw całej postępowej tradycji mieszczaństwa. Obawiam się, że niedługo ukażą się namiętne i pełne podziwu esseye o Chestertonie czy też o Bellocu, rehabilitujące do reszty ich ideologię społeczną.

Nasuwa to z miejsca szereg poważnych wątpliwości i zdecydowanych zastrzeżeń. Wszystkie one dotyczą wewnętrznych antynomii polityki kulturalnej tak „Tygodnika Powszechnego" jak i „Dziś i Jutro". Z jednej bowiem strony mówi się o symbiozie, z drugiej zaś propaguje się dzieła, które w żadnym wypadku nie uwzględniają (a trudno wymagać od Grahama Greene'a, by uwzględniał) owe konieczności okresu odbudowy. Taki stan rzeczy zachęca wprost do insynuacyjnych pytań. Przecież wiadomo, że jeśli równocześnie z artykułem Roztworowskiego pojawiają się entuzjastyczne odgłosy z wytężonej lektury „The Power and the Glory", to efekt wypowiedzi pierwszej jest całkowicie unicestwiony. Wszystkie nieprecyzyjne sformułowania artykułu „Katolicy w Szczecinie" odpowiednio się wśród „wiernych" interpretuje i w rezultacie wypadają one jako wezwanie do dalszych imitacji „Nocy Huberta". Nic więc dziwnego, że późniejsze zapewnienia o „postępowej" literaturze katolickiej stają się znów popisem retorycznym, argumentem na wiarę, na czyjeś słowo honoru.

Józef Piątek

Przygody Wicka i Wacka

Profesor Witold Doroszewski omawiając w „Odrodzeniu" tandetne książki dla dzieci słusznie podkreślił bezsensowność i szkodliwość wielu tego rodzaju wydawnictw, w których niechlujstwo stylistyczne idzie w parze z całkowicie bezsensowną treścią. Szkoda tylko, że profesor Doroszewski ograniczył się prawie wyłącznie do omówienia strony stylistycznej nie wgłębiając się zbytnio ani w pedagogiczny, a właściwie anty-pedagogiczny charakter tych książek, ani też nie pokusił się o wyjaśnienie socjologiczne. Bezsprzecznie jest to temat ciekawy i wart gruntowniejszego omówienia. Tylko, że tego rodzaju wydawnictwa dla dzieci to nie wszystko, co się w celach wychowawczych u nas produkuje. Osobną pozycję w tej anty-kulturalnej literaturze dla dzieci i młodzieży, szczególnie zresztą niebezpieczną, stanowią tzw. dodatki specjalne w gazetach, oraz tzw. „filmy rysunkowe". Jeżeli uzmysłowimy sobie, że pisma nasze obecnie ukazują się w wielutysięcznych nakładach, to musimy się przerazić, jakie poważne niebezpieczeństwo zawiera w sobie tego rodzaju codzienna i systematyczna robota. Przyjrzyjmy się dla przykładu tego rodzaju „filmom" w „Dzienniku Łódzkim" oraz w łódzkim „Expressie Ilustrowanym". Doprawdy ileż trzeba posiadać chorobliwej fantazji i niekontrolowanej wyobraźni, aby zdobyć się na podobne pomysły, podszyte dość tanim humorkiem.

Przecież społeczne znaczenie takiej pseudofantastyki i pseudohumoru jest jasne. Nie uczy nikogo, nie wychowuje, nie tłumaczy niczego, nie zawiera w sobie żadnych pedagogicznych elementów. Każe mówić złodziejską gwarą, przyzwyczaja do najgorszego rodzaju dowcipu. Pisma goniąc za tzw. „nakładem" starają się podobać tanim smaczkom swoich czytelników.

Gorzej, że nie zadowalniając się łatwymi sukcesami na łamach gazety wydaje się tego rodzaju elaboraty w książkach.



Wtedy, gdy państwo rozpoczęło mądrą i systematyczną akcję upowszechniania kultury, gdy KUK przynosi mądrą i tanią książkę i gdy w związku z rzuceniem na rynek wydawniczy dużej ilości nowych książek musimy dość oszczędnie gospodarować papierem, gdy nie zawsze starczy papieru na dobrze prowadzone dodatki kulturalne w gazetach — nie wiadomo dlaczego hojną ręką, wydaje się po raz drugi w bardzo dużym nakładzie tego rodzaju szkodliwe historyjki. Po wojnie nie ukazała się ani jedna teka karykatur politycznych, chociaż posiadamy doprawdy znakomitych malarzy i rysowników. Z wielu wartościowych wydawnictw satyrycznych trzeba było również zrezygnować, a tymczasem ukazuje się „Wicek i Wacek, ucieszne przygody dwóch wisusiów w czasie okupacji na ich cześć wierszem opisane". O czym traktuje tak szczodrze zilustrowana książczyna? Dwóch „wisusiów", jak nazwali ich autorzy, czyli Pat i Patachon w polskim wydaniu, opowiadają o czasach okupacji, o terrorze hitlerowskim, o obozach, o maltretowaniu, o ucieczce. Ale jak? Przysłowiowy już obecnie film „Zakazane piosenki" pokazujący prymitywnych, głupich Niemców, których lada głupiec mógł okpić, blednie wobec przygód opisanych w tej książczynie. Czyż można mówić takim stylem, takim językiem i w taki sposób o czasach hitlerowskiej okupacji? Wróg opisany w tak prymitywny sposób, wróg głupi, tępy, naiwny i bezradny przestaje być groźny, przestaje być niebezpieczny. Czyż można opowiadać o czasach, które tak dobrze pamiętamy, jako o sumie prymitywnych „cwaniackich kawałów"? Jak wygląda okupacja w oczach Wicka i Wacka i jak wygląda obóz, w którym palono ludzi i katowano miliony? — miejsce dla niewybrednych dowcipuszków popis „nawalanek nad Szkopami". Dawno nie widziałem równie ponurego, anty-kulturalnego humoru — dawno nie widziałem tak szkodliwego „wydawnictwa". Sam fakt wydania drugiego i jak się dowiadujemy, wkrótce trzeciego wydania tych przygód budzi wiele **niepokojących pytań.**

Piotr Chmura

POZYTYWNY BOHATER

(Streszczając głosy czytelników...)

W poprzednim numerze „Wsi" podaliśmy w „Faktach i zdaniach" informację o przodowniku pracy, górniku Zielińskim, który został wicedyrektorem kopalni i otrzymał złoty krzyż zasługi *). Nadeszło już kilka listów od czytelników. Bardzo ciekawe. Oto jeden z nich: Nauczyciel (A. P.) pisze tak: „Posługuję się „Wsią" na lekcjach w rozmaity sposób, ostatnio ciągnąłem cykl życiorysów chłopów, wychodzących ze wsi. Materiału miałem ze „Wsi" w bród. Ale też go wykorzystałem. A więc w dawniejszą inteligencję (jak Pigoń), na emigrację za ocean (jak Breowicz i Wójcik), do drobnomieszczaństwa (jak Połeć), do klasy robotniczej (jak Lucjan Rudnicki); wojna, — tu droga partyzanta pochodzenia chłopskiego, (inteligenta jak Barabasz i jak masy młodzieży chłopskiej w „Listach 1939—44"), po wojnie — w gimnazjach, na pisarza klasowego (jak Pogan), na przodownika klasy robotniczej (jak Pstrowski), ale to był początek wyścigu pracy.

Młodzież chciała wiedzieć więcej i szczegółowiej. I tu zabiła mi „Wieś" klina. Pisaliście niedawno o powieści o Pafawagu, gdzie prawdziwy wzór bohatera naszych czasów nie został ukazany. Bardzo mnie to zmartwiło, że powieściopisarze tego nie zrobili (po czterech latach). Ale oni chyba nie wiedzą, czemu się należy przyjrzeć Otóż w ostatnim numerze „Wsi" moi uczniowie zwrócili uwagę na artykuł o Wrocławiu i na notę o górniku Zielinskim. Przecież to materiał do powieści. We Wrocławu 41 proc. chłopów, 41 proc biedoty z miasteczek, większość olbrzymia z tych grup w fabrykach, które odbudowali (tam jest właśnie Pafawag!). Po trzech latach dopiero o tym wszystkim się dowiadujemy **informacyjnie,** a kiedy będzie powieść? Zielinski, górnik, osiągnął 720 proc. normy. Więc jest rzeczywisty bohater naszych czasów. Jacy pisarze się zainteresowali i takimi, jak on?

Dlaczego się nas nie pytają w ankietach do pism, o czym i o kim chcemy powieści? A ja bym też pragnął, aby mój trud nauczycielski pokazano w powieści. Aby nasze poświęcenie zostało uwiecznione. Bo to się zaczyna dziać wszędzie. Robotnicy wyciągają ponad normę i my też Wróciłem niedawno z powiatowej konferencji nauczycielskiej. 50 nauczycieli bezpłatnie przez szereg miesięcy przeprowadzało kursy dla analfabetów. Co to znaczy? Znaczy, że pęka wśród nas ten pesymizm, o którym pisał prof. Chałasiński jeszcze w „Młodym Pokoleniu Chłopów", kiedy przed wojną szkoła uczyła „na pana", a myśmy chcąc czy nie chcąc byli „panami". Ilu ze wsi chłopaków mogliśmy wycenić jako kandydatów na przyszłych „panów"? to jak było walczyć z zalewem ciemnoty? Przy jakich nadziejach? Ręce opadły. A robotnik? Gdzie on mógł być twórczy? U siebie w domu, w ogródku, w szopie; majstrował klatki, zamki, naprawiał i udoskonalał drobiazgi domowe i kuchenne. W fabryce ani mógł ani chciał twórczo myśleć.



Jeden z moich uczniów zaniepokoił się tym, że Zieliński został dyrektorem kopalni. 720 proc normy wyciągnął, jako górnik, a jako dyrektor takie wielkie osiągnięcie zmarnuje. Mój uczeń myślał, że Zielińskiego sukces leży w granicach wysiłku indywidualnego mięśni i siły organizmu. Nie zrozumiał, że polega ten sukces na wynalezieniu lepszego, wydajniejszego systemu pracy górnika i dlatego może być upowszechniony. Ale tak myśli wielu, że to Zieliński, a nie górnicy i nie robotnicy. Że to nauczyciel X, a nie nauczyciele. A to tu, tam i gdzie indziej powstają w ludziach nowe sposoby życia i pracy. Diabli mogą wziąć człowieka, że tego pisarze nie oglądają i o tym nie piszą. Bo, żeby to tak nagle z niczego wyskakiwało. Ale przecież są tradycje, jest przeszłość wiodąca do każdego z tych „skoków" We „Wsi" pisząc o Pstrowskim, pokazaliście, jak chłopi wychodzący na robotników i w kapitaliźmie okazywali obrotność i pomysłowość twórczą w fabrykach, jakie notowali w pamiętnikach pomysły. I że taki artykuł przed rokiem drukowany nie zastanowił powieściopisarzy? Nie postawił im pytania: a jak będzie pracował i żył robotnik dzierżący władzę i budujący socjalizm? Co, fabryka to nie los ‚osobisty"? To nie temat do powieści?

A o czym się mówi, czym się żyje w domu, w rodzinach takich Zielińskich? A co, może „nauczycielstwo" kończy się z progiem klasy? Kpina. Czytam w „Nowej Wsi", tygodniku dla młodzieży, życiorys z „Młodego Pokolenia Chłopów". Ten młody przed wojną wiedział, że to „rozpasanie swawoli kapitalistycznej wyciąga ostatnie soki ze społeczeństwa, dochodzi do punktu kulminacyjnego". A w innym piśmie ludowym czytam, że chłop trzymany był przez panów w nędzy, poniewierce i pod batem, a teraz nowe czasy i nowi ludzie. Tak pewnie myślą ci, co nie chcą pisać o ludzie powieści. I dlatego nie mogą. Bo rzeczywiście skok spod bata ekonomskiego w nowe czasy nie bardzo pozwala wierzyć w nowych ludzi. Ci nowi bohaterowie sami wiedzą, że nie ze średniowiecza, tylko z kapitalizmu wychodzą i w walce z nim wytworzyli w sobie wartości do rozwinięcia dzisiaj. I my, czytelnicy, o tych chcemy powieści".

---

*) Patrz w tym numerze art. Niewiarowskiego „Bohater naszych czasów".

KSIĄŻKI NADESŁANE

Spółdzielnia Oświatowa „Czytelnik"

Maria Kann — Góra czterech wiatrów — str. 300

Igor Newerly — Chłopiec z solskich stepów — str. 217

Jorge Amado — Kakao — Biblioteka Romansów i Powieści — str. 64

A. Nowikow-Pryboj — Kobieta na okręcie — Bibl. Rom. i Pow. — str. 60

J. Putrament — Rzeczywistość cz. II — Bibl. Rom. i Powieści — str. 63.

Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza

Wacław Sieroszewski — Beniowski cz. I — 227 str.

Wacław Sieroszewski — Beniowski cz. II — 214 str.

Wacław Boguszewski — Ucieczka — 345 str.

Helena Boguszewska — Żelazna kurtyna — 265 str.

Wydawnictwo Zachodnie

Karol Čapek — Księga apokryfów — 147 str.

Państwowy Instytut Wydawniczy

Dr Stan. Lindberg — Podatek gruntowy — 512 str.

Poradnik językowy zeszyt 1 — 32 str.

Księgarnia Allos

Teodor Parnicki — Średnie orły — 545 str.

Wydawnictwo Zakładów Narod. im. Ossolińskich — Wrocław

Stefan Inglot — Historia społeczna i gospodarcza średniowiecza — 384 str.

Wydawnictwo „Ex Libris"

Stanisław Helisztyński — Ave Roosevelt — 377 str.

FAKTY i ZDANIA

Kiedy nastąpi kryzys w USA?

Zestawiamy najpierw cytaty z anglosaskiej prasy gospodarczej:

„...istnieją poważne obawy, że należy oczekiwać załamania się gospodarki amerykańskiej w ciągu 1949 r., ...zahamowania życia gospodarczego — jak nazywają teraz w Ameryce oznaki zbliżającego się kryzysu — dały się wyraźnie odczuć w okresie przedświatecznym" (amerykański korespondent brytyjskiego „Economist").

„Wkraczając w rok 1949 można stwierdzić, że dzisiaj nie jest już pytaniem, czy nastąpi załamanie się gospodarki amerykańskiej, tylko kiedy to nastąpi?" (czołowy publicysta amerykański Livingston w „Washington Post)".

„Obecnie obawiają się, że dalszy spadek zarobków amerykańskich mas pracujących połączony z wzrastającymi kosztami utrzymania, doprowadzi jeszcze w pierwszej połowie 1949 r. do nowego starcia między organizacjami robotniczymi, domagającymi się utrzymania płac na odpowiednim poziomie i przemysłowcami, którzy będą chcieli temu przeciwdziałać przez ograniczenie produkcji i masowe zwalnianie robotników. W obliczu narastających trudności gospodarczych rezultaty tego starcia mogą okazać się katastrofalne dla gospodarki amerykańskiej" („Economist").

A teraz fakty: Tempo amerykańskiej produkcji spada. W niektórych gałęziach 20—30 proc. w ciągu 1948 roku w stosunku do roku 1943. Liczba bezrobotnych, która w końcu 1948 roku wynosiła 2.000.000, sięga obecnie 5.000.000 ludzi. W Nowym Jorku przybywa co tydzień do 45.000 nowych bezrobotnych.

Jakże sobie radzą Amerykanie? Po pierwsze przy pomocy zniszczonej wojną Europy Zachodniej. Plan Marshalla hamuje rozwój europejskiego przemysłu, torując drogę dla amerykańskiej nadprodukcji przemysłowej. Po drugie przez utrzymywanie naprężenia międzynarodowego. Groźba wojny jest na rękę właścicielom fabryk w przemyśle stalowym czy zbrojeniowym. Nie bez kozery — 50 proc. amerykańskiego budżetu przeznaczono na wydatki wojenne i propagandę „zimnej wojny".

A jednak widmo kryzysu zagraża coraz bardziej krajowi, u wrót którego stoi posąg wolności, symbolizujący równość, braterstwo narodów i spokój.

p. p.

Sprawa dwóch W

Waszyngton — to co innego. I Watykan — to co innego. Są to dwa miasta, z których jedno jest stolicą Stanów Zjednoczonych, drugie — Stolicą Apostolską.

Co reprezentuje Waszyngton? Wiadomo — interesy dolara. Co zaś reprezentuje Watykan? Też wiadomo — interesy Kościoła katolickiego. Widocznie jednak mylimy się. Sprawa nie przedstawia się zapewne tak prosto i jasno — skoro reprezentanci dwóch odmiennych interesów udzielają sobie wzajemnego poparcia i błogosławieństwa. Wiadomo zaś, że nie udziela się nigdy aprobaty sprawie, która mogłaby zaszkodzić interesom aprobującego.

Otóż do niedawna papież w zasadzie nie zabierał głosu w sprawie tzw. planu Marshalla. Być może dlatego, że to jest sprawa „cesarska", ale przede wszystkim dlatego, że szerokie masy ludności pracującej Włoch wypowiedziały się jawnie przeciwko polityce ekspansji gospodarczej Waszyngtonu. Niezadowolenie ludu włoskiego z planu Marshalla wywołało niezadowolenie Waszyngtonu. Bo to przecież nie bardzo przyjemnie przyglądać się, jak naród włoski protestuje przeciwko pomocy (niedobroczynnej). No i w konsekwencji Waszyngton uznał, że potrzebne mu jest błogosławieństwo Ojca Św. Posłano więc do Watykanu (18 stycznia br.) kierownika misji marshallowskiej we Włoszech, Jamesa Zellerbacha (tego samego, który oświadczył niedawno, że sytuacja gospodarcza Włoch w ciągu 1949 roku będzie tak samo ciężka, o ile nie cięższa niż w roku poprzednim), i przedstawiciela Stanów Zjednoczonych przy Watykanie — Taylora.

Przyjęci zostali gościnnie przez Papieża — otrzymali Jego błogosławieństwo. A w czasie rozmowy Ojciec Św. oznajmił wręcz: „Wy staracie się urzeczywistnić plany, które mają za cel skierować Europę na drogę prawdziwego postępu".

Postęp oznacza ekspansję dolara — imperializmu amerykańskiego. To jest postęp... w zastój gospodarczy, bezrobocie, nędzę. Czy „prawdziwy" zaś — jak chce Ojciec Św. — to wątpliwe.

Ale kto mi odpowie: gdzie jest Stolica Apostolska? A gdzie — stolica dolara? Może Pan Bóg mi odpowie. **K. S.**

Aby się lepiej darzyło na polu

Uważny czytelnik fachowych pism rolniczych musi stwierdzić dwa pocieszające objawy w naszej gospodarce rolnej. 1) Stale rosnącą ilość sprzętu technicznego rolnego i 2) poprawę w polityce rozprowadzania i gospodarki sprzętem rolniczym.

I tak, kiedy w roku 1946 mieliśmy 246 czynnych stacji traktorowych, to już na początku 1948 obsługuje rolniczą Polskę 1697 Spółdzielczych Ośrodków Maszynowych. Skok o 700 proc., ale nie może to być przecie ostatnim słowem! W roku 1946 było czynnych 1481 siewników, rok 1948 przynosi nam 2615 nowych siewników. Taki sam mniej więcej stosunek liczbowy zachodzi w traktorach, młocarniach, kosiarkach itp. Czy stan ten jest zadowalający? Nie, mimo stałej poprawy, stan ten jest jeszcze nie wystarczający, zwłaszcza jeśli się stwierdzi, że tylko na Ziemiach Odzyskanych SOM są przeważnie I i II kategorii (zaopatrzone w traktory), gdy w innych województwach, jak w warszawskim, lubelskim, większość ośrodków posiada zaledwie siewniki i młocarnie.

Sprawa jest jednak pilna i ważna! Wiemy, że plan sześcioletni gwarantuje nam dalszą rozbudowę przemysłu i dalszą rekonstrukcję rolnictwa na podstawie nowej, współczesnej techniki. I wiemy, że ta rekonstrukcja przemysłu i rolnictwa jest jednym z podstawowych zadań gospodarki państwowej, stanowi o naszej przyszłości i dobrobycie, jest jednym z etapów na drodze do socjalizmu.

Problem technizacji nie kończy się jednak na ilości wyprodukowanych maszyn. W „Przeglądzie Spółdzielczym" nr 3 w artykule „Spółdzielcze Ośrodki Maszynowe" czytamy, że w pierwszym okresie pracy organizacyjnej SOM... „brak było zrozumienia ze strony zarządów gminnych spółdzielni, a często i PZGS, które opóźniały akcję masowego unowocześnienia pracy w rolnictwie". Opóźnianie to polegało nie tylko na niedostatecznej opiece nad sprzętem, ale i na **niewłaściwej polityce rozprowadzania maszyn**, polegającej na faworyzowaniu bogatych chłopów. Dopiero zorganizowane od listopada 1948 r. komitety członkowskie ośrodków decydują, kto ma prawo i w jakim stopniu korzystania z maszyn ośrodka.

Według „Przeglądu Spółdzielczego" największy procent małorolnych chłopów obsłużyły SOM w woj. bydgoskim (81%), lubelskim (78%), łódzkim (73%), białostockim (62%), najmniejszy zaś procent w woj. poznańskim (5%!) i krakowskim (17%). (Wszystkie dane liczbowe z „Przeglądu Spółdzielczego" Nr 3).

Kto za ten stan rzeczy odpowiada w województwie poznańskim i krakowskim?

Apel do organizacji partyjnych PZPR i SL: czuwajcie nad dobrem komitetów członkowskich ośrodków maszynowych, czuwajcie nad właściwą polityką SOM. Traktory i maszyny rolnicze muszą być właściwie użyte! Właściwie, tzn. w pierwszym rzędzie w nowopowstających chłopskich gospodarstwach spółdzielczych, w gospodarstwach mało- i średniorolnych chłopów. **t. chł.**

O ZMP i wiejskich bibliotekach

Jednym z optymistycznych przejawów naszego życia kulturalnego jest rosnąca z każdym dniem sieć bibliotek gminnych a nawet gromadzkich. W związku z tym powstaje pytanie: kto ma być bibliotekarzem tych skromnych na razie księgozbiorów chłopskich?

W praktyce powierza się tę funkcję tym siłom, które już teraz można wykorzystać, nauczycielom, ew. pracownikom zarządu gminnego. Takie rozwiązanie nie wydaje mi się słuszne. Jest to rozwiązanie doraźne, konieczne ze względu na brak wykwalifikowanych sił pracowniczych. Na dalszą metę znaleźć należy inne wyjście. Zarówno dla nauczyciela jak i sekretarza gminnego zajęcie w bibliotece jest zajęciem pobocznym, któremu poświęca się czas na marginesie głównych zajęć w szkole albo gminie. Bibliotekarz nie może ograniczyć się do administracyjnego tylko wydawania książek. Obok nauczyciela, pracownika samorządowego, działacza politycznego, wyrasta na wsi obecnie nowa funkcja i nowy zawód o niezmiernie ważnym znaczeniu społecznym, zawód bibliotekarza. W Związku Radzieckim do zawodu bibliotekarza przywiązuje się duże znaczenie. Bibliotekarzem nie może zostać pierwszy lepszy z brzegu dyletant. Kandydat na bibliotekarza przechodzi specjalne przeszkolenie na kursach i akademiach, stale dokształca się na bogatej literaturze bibliograficznej. „Bibliotekarz pełni rolę wychowawcy, w pracy tej opiera się na założeniach marksizmu-leninizmu... Praca z czytelnikiem zdąża do podniesienia poziomu czytania, do wyrobienia ideowo-politycznego poprzez stopniowe opanowanie wiedzy ogólnej i specjalnej. Poznanie czytelnika, dobór literatury w ramach indywidualnych zainteresowań są niezbędnym etapem w tej pracy". (J. Millerowa — Metody pracy z czytelnikiem w bibliotekach powszechnych Związku Radzieckiego. „Bibliotekarz" nr 12 — 48 r.).

Czy obsadzanie odpowiedzialnych stanowisk bibliotekarzy gminnych ma odbywać się drogą „samorzutną" czy też w jakiś inny sposób, np. organizacyjnie poprzez kursy przeszkoleniowe? Jasne, że organizacyjnie i poprzez kursy. Kandydatów na bibliotekarzy już teraz dostarczyć może i **powinien Związek Młodzieży Polskiej.** Młodzi aktywiści Związku zainteresowani książką i biblioteką powinni być kierowani na kursy przeszkoleniowe bibliotekarzy. Związek Młodzieży Polskiej jest organizacją, która oddziałuje przede wszystkim ideowo i wychowawczo nie tylko na swoich członków ale i na starszych. Jednym z elementów tego oddziaływania winna stać się książka i biblioteka. Opanowanie biblioteki i umiejętna gospodarka książką na wsi — oto jedno z ważniejszych zadań wiejskich kół ZMP.

Czy dotychczas ZMP interesował się tą sprawą?

t. p.

Bilans kulturalny Z. S. Ch.

Oto ów bilans za rok ubiegły:

15 tysięcy nowych świetlic wiejskich,
80 tysięcy nowych członków świetlic,
1.500 bibliotek wiejskich,
152 tysiące książek oddanych chłopom,
645 teatralnych zespołów przyświetlicowych,
278 zespołów chóralnych,
74 zespoły taneczne,
49 kapel ludowych.

Jeżeli sobie przypomnimy, że przed wojną wieś korzystała w znikomym procencie z bibliotek publicznych (rozmieszczonych tylko po miastach), że na wieś docierały tylko kalendarze i rozmaite cudowne opowieści o świętych pańskich, że ta izolacja wsi od postępu i oświaty była jednym z celowych posunięć półfaszystowskiego rządu, zrozumiemy, gdzie leży sens rewolucji kulturalnej przeprowadzanej na wsi przez Związek Samopomocy Chłopskiej.

Sens tej rewolucji leży w „wyzwalaniu rewolucyjnych sił twórczych, tkwiących w masach robotniczych i chłopskich". Celem jest **„utrwalenie jednolitej kultury robotniczo - chłopskiej, opartej na naukowym światopoglądzie marksizmu - leninizmu. Działanie kulturalno - oświatowe musi być skoordynowane z działaniem społeczno - gospodarczym".** (Tezy pracy kult.-ośw. ZSCh. na rok 1949).

Biblioteka, elektryczność, radio, gazeta, traktor i teatr — oto są nowe elemeny polskiej wsi odbudowywanej z gruzów wojny i przedwojennego zacofania gospodarczego i kulturalnego.

Więcej maszyn rolniczych, więcej zelektryfikowanych wsi, unowocześnione sposoby produkcji rolnej zaoszczędzą niemało godzin pracy. Te godziny zaoszczędzone na orce, siewie i młocce obróci chłop na pracę kulturalną, kształceniową, bo warunki ku temu są coraz pomyślniejsze. Spójrzcie na początek noty.

k. m.

„Nie tępię religii"

Do Redakcji tygodnika „Wieś".

Dziękuję Wam Kol. Redaktorze za odpisanie na list i umieszczenie mego pisma w Waszym Tygodniku „Wieś" z dnia 6 lutego 1949 r.

Chcieliście, ażebym pisał do Was. Odważam się pisać, jednak zaznaczam, że są to dopiero moje pierwsze kroki w pisaniu tak jak kroki małego dziecka, które zaczyna chodzić, ale jeszcze słabo i przewraca się, tak i ja jeszcze nieraz będę przewracał się w swym pisaniu, gdyż nie jestem kształconym w szkołach tylko samoukiem, a jestem wychowany na głuchej, biednej, zacofanej wsi, gdzie jeszcze istnieją zabobony i gusła. Posiadam 5 ha ziemi lichej, gospodarstwo zubożałe wskutek spłat 11 spadkobierców, i to moje gospodarstwo nie może należycie funkcjonować, bo jeszcze mam czworo drobnych dzieci, niezdatnych do żadnej mi pomocy.

Wieś ma rodzinna oddalona jest od miasta Skierniewic o 22 km, od szosy — 6 km, Zarządu Gminnego — 10 km, szkoły żadnej nie było, ziemia jest licha, gospodarstwa od 2—5 ha, więc nic dziwnego, że jest bieda i ciemnota.

Dlatego, kto tylko zaczynał trochę myśleć o lepszym życiu człowieka, to emigrował za zarobkiem, w świat i więcej nie wracał. Pozostali, a zostało dużo, bo nie mieli w ogóle gdzie iść za zarobkiem i gdzie się kształcić, musieli pozostawać na tej zapadłej wsi, gdzie tylko czekała męczarnia, ciemnota i głód, a komu zostało trochę rozumu, to jak go ojciec nauczył prymitywnie gospodarzyć i wywijać cepami koło ucha, to i resztę prawie rozumu mu wywietrzało, a co by jeszcze zostało, to na czysto ogłupił go ksiądz i dziedzic, bo im tylko na tym zależało, ażeby była ciemnota i biedota, bo czym głupszy, to łatwiej go można oszukać, a czym biedniejszy — wyzyskać i uzależnić od siebie za marny jakiś ochłap. Dam przykład ze swej wsi. Było trzech gospodarzy, którzy cośkolwiek zaczęli myśleć i brać udział w pracy społecznej. Zaraz dowiedział się o nich dziedzic i ksiądz. Raz zaprosił dziedzic do siebie jednego z nich, ob. N. Bardzo go grzecznie z księdzem przyjęli, poczęstowali herbatką i papierosami i ksiądz zaczyna rozmawiać w ten sposób: wiecie, ten K. (mój stryjo) to bardzo zły człowiek, powinniście się przygotować na niego we dwóch z B. i dać mu tyle, ażeby już raz na zawsze gębę zamknął (znaczy, żeby go zabić). N odpowiedział temu księdzu w te słowa: tego zrobić nie mogę. Od tej pory ci trzej gospodarze byli wyśmiani i maltretowani przez kler i dziedzica i policję za to tylko, że cośkolwiek rozumowali. Dziś dziedzica nie ma, ksiądz idzie trochę z postępem, ale kto udziela się pracy społecznej i jest czynny, to jeszcze często jest wyśmiany przez cichą propagandę reakcji, a ludzie są jeszcze ciemni, stale myślą, że ich przywódca to tylko dziedzic i ksiądz.

Nie tępię religii, tylko popieram, ale ksiądz niech nie ogłupia narodu, a tylko pilnuje kościoła i wiary, niech tej naszej wiary nie spacza do swych kapitalistycznych celów i ogłupiania ludzi.

Tadeusz Krakowiak

Lisna, 9.11 1948.

Sensacja?

Obywatelu Redaktorze!

Chciałabym poruszyć na łamach Waszego pisma pewną sprawę (zachęcona zresztą częstym drukowaniem innych wypowiedzi z „terenu").

Coraz częściej spotyka się w prasie krótsze i dłuższe wzmianki o awansach społecznych kobiet na stanowiska dyrektorów, ministrów, sędziów, starostów, przewodniczących rad narodowych, wójtów. Film Polski wyświetla dodatek przedstawiający przy pracy kobietę - wójta. „Dziennik Ludowy" podaje imponującą cyfrę 23 tysięcy kobiet zasiadających w zarządach terenowych ZSCh. Wymienia się gromadę Trzebnicę (pow. piotrkowski), która wybrała zarząd ZSCh., składający się wyłącznie z kobiet.

Polityczne znaczenie tych faktów jest bardzo duże. Powojenne demokratyczne ustawodawstwo polskie dało kobietom pełne prawa obywatelskie, przysporzyło w ten sposób państwu nowych kilka milionów obywateli, biorących pełny udział w życiu politycznym i społecznym całego kraju. Zdają sobie sprawę ze znaczenia tego faktu partie polityczne i starają się zaktywizować pracę partyjną wśród coraz szerszego kręgu kobiet.

Często jednak wzmianki reporterskie o poszczególnych faktach awansu społecznego kobiet noszą posmak sensacji. Podkreśla się „nadzwyczajność" zdarzenia. Czy słusznie?

Opowiadano mi, że pewien Amerykanin (Polak — obywatel Stanów Zjednoczonych) zwiedzając latem 48 r. Polskę, nie mógł się rzekomo nadziwić na widok kobiet polskich, pracujących przy naprawie dróg. Nie wiem jak tam jest w Stanach Zjednoczonych, o stosunkach panujących w kraju dolara można się jednak dowiedzieć wiele ciekawych i niezbyt przyjemnych rzeczy z utworów postępowych pisarzy amerykańskich (Howarda Fasta chociażby). Być może, że kobiety nie wychodzą tam z rydlem lub łopatą (te z „dolarowych" towarzystw) na ulicę...

Otóż u nas prasa powinna unikać posmaku sensacji i „nadzwyczajności" w komentowaniu faktów awansu społecznego kobiet. U nas nikt się nie dziwi, widząc kobiety przy odbudowie zniszczonego kraju, ale też i nikogo nie dziwi kobieta-dyrektor, kobieta-minister, jak i kobieta-przodownik pracy. Powinno się raczej podkreślać przy tych okazjach różnice zachodzące między ustawodawstwem Polski (i krajów demokracji ludowej) a ustawodawstwem w tym wypadku naprawdę „zgniłego Zachodu", które pomijając już sprawę równouprawnienia kobiet, toleruje ucisk narodowościowy.

Janina Jankowska

Łódź, Chojny, 15 luty 49.

W NUMERZE 8 (187) TYGODNIKA „WIEŚ"

z dnia 20 lutego 1949 r.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź Piotrkowska 133, tel. 100-98
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ
REDAKCJA RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź ul. Piotrkowska 133 Telefon 100-98
Warunki prenumeraty: miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240.— zł; półrocznie 480.— zł; rocznie 960.— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII 1080.
Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2
D—025761